CHIMERA



TOM VI • ZESZYT 16 • PAŹDZIERNIK 1902
REDAKCYA I ADMINISTRACYA
WARSZAWA • NOWY ŚWIAT 22

TREŚĆ.

TOM VI. ZESZYT 16. — PAŹDZIERNIK 1902.

JULIUSZ ZEYER	*Król Kofetua*	1
ANTONI LANGE	*Z „Rozmyślań"*	27
CYPRYAN NORWID	*Tajemnica lorda Singelworth*	40
GABRYEL D'ANNUNZ.	*Z „Rajskiego Poematu"*	63
RALPH WALDO EMERSO	*Poeta*	73
MICHAŁ C. BIELECKI	*Sadzawka*	88
MARYA KOMOR	*Maj.*	92
EDWARD	*Płomień ofiarny*	97
ADAM Ł	*Ocknienie*	100
BRONISŁAWA OSTROWSKA	*Wcielenie*	102
LEON RYGIER	*Nokturn*	104
KONRAD ROBAKOWSKI	*Zygfryd*	105
STANISŁAW WYRZYKOWSKI.	*Róże mistyczne.*	107
JULIUSZ ZEYER	*Dom „pod tonącą gwiazdą"*	109
JAN LEMAŃSKI	*Colloquium.*	134

KRONIKA MIESIĘCZNA 137

TREDECIM	*Glossy.*
WŁAST	*Powieść.*
CHIMERA	*Varia.*

EDWARD BURNE-JONES	Król Kofetua i dziewczę żebracze (heliograwiura R. Paulussena).	
„ „	Quia multum amavit	71
STANISŁAW DĘBICKI	Nagłówek (przerys.)	105
STANISŁAW TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZ	Ozdoby	88, 92, 99, 104, 107
JÓZEF MEHOFFER	Rysunki dekoracyjne	73, 87
„ „	Rysunek okładkowy	
EDWARD OKUŃ	Inicyały i rysunki	1—26. 27, 39, 102
MARYAN WAWRZENIECKI	Rysunki	63. 69, 97
FRANCISZEK WOJTALA	Inicyał	109
	Inicyały ze starych drzeworytów.	40, 51

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładach chemigraficznych
B. WIERZBICKIEGO i S-ki, oraz KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — K. KOWALSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Февраля 1903 года.



Król KOFETUA.

JULIUSZ ZEYER.

*Przełożył MIRIAM. Przy-
ozdobił EDWARD OKUŃ.*

*Wydanie Kommemoratywne w ro-
ku drugim od śmierci twórcy.*



Przynoszę ci, przyjacielu, ten sen z Rawenny, jako pamiątkę z podróży. Śniłem go przy blaskach bizantyńskich mozaik w prastarych bazylikach tego miasta, zapadłego w letarg tak głęboki, że zaklęciem się zdaje, śniłem go u sarkofagu rzymskiej Galli Placydii i w chłodnej pustce mauzoleum Teodoryka gockiego, śniłem go podczas włóczęg swych przez Pinetę, ten las pełny nieprzeczuwanych wrażeń i nieznanego czaru, ten epicki — rzekłbym — gaj piniowy, po którym Dante ongi nieraz błądził, a który ciągnie się od Rawenny, co zrodziła Franczeskę, aż do Rimini, miasta, gdzie śmierć na nią czyhała, na tę niewymownej słodyczy Franczeskę, która z pamięci ludzkiej nigdy zniknąć nie może, ponieważ męczeństwo jej

tak nieskończenie głęboko, aż do tak patetycznie pięknego „lagrimar tristo e pio“ pieśniarza *Piekła* wzruszyło.

Sen mój wstał we mnie, gdym po śladach Shelley'a i Byrona przez ciche chodził ulice, między wielkiemi ogrodami, które sam niegdyś w wiosennej gloryi brzoskwiniowego i morelowego kwiecia widziałeś. Przyszedł niespodzianie, jak przychodzą wszystkie sny, gdy rozmyślanie o tych dwóch pieśniarzach północy, nie wiem już, przez jakie skojarzenie myśli, nagle mi czaru pełny obraz Burne Jones'a „Król Kofetua“ do wzruszonej przywołało pamięci. — Jest to tylko sen, nic więcej ani mniej, ta moja niewyraźna baśń o tęsknocie, którą ci przynoszę. Marzenie może być jałowem, ale powiedz sam, czyli nie bywają sny i marzenia nasze niekiedy tem czemś najlepszem, co mamy na ziemi? A bez marzenia, tego przedwstępnego tworzenia, czy wogóle mogłaby istnieć sztuka? — Może ten sen mój dzisiejszy jałowym jest również, ale znajdziesz w nim coś z Rawenny i coś, co w piersi mi łkało, — a potem, jest to pamiątka!



Kto to był król Kofetua? kiedy żył i gdzie? Nikt nam tego nie powie. Żaden latopis o nim nie wzmiankuje, ani żadna kronika — a jednak jest nieśmiertelny. Czemu? Bo łabędź awoński słów kilka o nim wyśpiewał i tak imię jego stuleciom przekazał. W moim śnie, wyjeżdżał król Kofetua ze swego grodu nad morzem, gdzieś na północy. Był młody, piękny i smutny. Dziewczęce nieledwie jego oblicze było blade i wzruszające w piękności swej. Długie fale jasno złotych włosów spływały z pod srebrnego hełmu, nad którym pióropusz biały się kołysał, na wolny, fałdzisty płaszcz z brokatu wyblakło ametystowej barwy, połyskującego leciuchno nićmi srebrnych przetykań.

Król Kofetua, w zamyśleniu, spoglądał za siebie, na zamek ojców swych. Czarny rumak jego grzebał nogą w piasku, a cały zastęp młodych rycerzy — wszyscy w srebrnych zbrojach, wszyscy na czarnych koniach, jak król, któremu towarzyszyć mieli w jego drodze w nieokreślność — czekał niecierpliwie znaku do pochodu. Spragnieni byli ujrzeć świat i te obce ziemie, o których tyle byli słyszeli, ale których, jako młodzieńcy bez wyjątku, dotąd nigdy nie widzieli. Król Kofetua oparł się ręką o wysoką kratę, kowaną z żela-

za, która zamykała przystań, gdzie pod samym zamkiem kołysały się dwa piękne statki, przeznaczone wyłącznie na potrzebę królewską. Aż na dół, do samej powierzchni morza, wiodły z tego miejsca marmurowe schody; fale rzucały na nie muszle, piany i perły swych rozbryzgujących się wód.

To miejsce przypomniało królowi wypadek, który mu się w pamięć wrył, acz był się zdarzył dawno, dawno, gdy miał lat ośm zaledwie. Królowa, matka jego, przyprowadziła go tu raz za rękę, gdy na korabiach przypławiono właśnie niezmierną zdobycz z okrain dalekich. Cały brzeg był zasypany skarbami, a słudzy i niewolnicy mrowili się, odnosząc całe to niewidziane bogactwo na górę do ciemnych komór groźnego grodu, z tą jedną jasną, otwartą salą bursztynową, gdzie stał srebrny tron, jako symbol władzy nad bezbrzeżnem tem, falującem w nieskończoność morzem. Królowa pyszna była jak zbuntowani aniołowie, pyszna ze swej piękności, pyszna ze swego rodu, pyszna ze swej potęgi, a najpyszniejsza ze swego syna Kofetuy.— „Wszystko to jest twoje,“ rzekła mu wówczas, „wszystko, co tutaj widzisz, i wszystko, co to niezmierne szafirowe morze jeszcze tu posłusznie na wielkim grzbiecie swym przyniesie. Wszystkie brzegi, które

wielka ta woda oblewa, są z prawa twoje, bo w żyłach naszych płynie krew rzymskich cezarów, samowładców bizantyjskich, i królów gockich. Niema życzenia, któreby ci się kiedybądź nie spełniło, niema i nie będzie nic, coby ci odmówionem być mogło. Bóg stworzył niektórych, aby panowali, a resztę, aby służyła."

Kofetua mało wówczas przyszłość tę rozumiał, ale bawiło go brać garstki pereł, rzucać je w piasek i swawolnie po nich deptać. Matka uśmiechała się, lecz nagle chmura okryła jej czoło. Spostrzegła starą kobietę, siedzącą na schodkach z założonemi na kolanach rękoma. Była to niewolnica, której królowa nienawidziła, bo czoło tej kobiety było pyszne. Z czystej swawoli wzięto ją kiedyś gdzieś za morzem w niewolę i przywleczono z inną zdobyczą do grodu. Nie płakała, nie łamała rąk i nie schyliła głowy, gdy ją przywiedziono przed króla i królowę. Król rzekł wówczas ze wzgardą: „Poco-ście tę przywiedli? By jej rychło grób kopać? Toć nad nim stoi!"

Chciał ją puścić na wolność, lecz królowa ujęła go za rękę, nim się to stało. — „Czyliż nie widzisz chmurnego jej spojrzenia nienawiści?" rzekła. „Niechaj nie wprzód wolność otrzyma, aż w pokorze o nią poprosi." — Branka milczała, wreszcie rzekła: „Czemużbym miała o prawo swe prosić? Nie, raczej gwałt wasz znosić będę. Grób czeka mię wkrótce. Cóż z tego, gdzie go

wykopią?“ — I nie ugięła karku. Została niewolnicą, i lata płynęły, a ona stale milczała i nigdy nie prosiła.

Nienawiść pysznej królowej rosła przez to z dniem każdym, i teraz, gdy, stojąc z synem na brzegu śród całego tego bogactwa, ujrzała starą niewolnicę, zawołała tak na nią: „Czemu próżniaczo siedzisz tu sama jedna, gdy inni pracują?“ — „Pracujesz ty?“ odpowiedziała kobieta spokojnie, podnosząc wolno powieki ciężkie od łez nieprzelanych, nieruchoma zresztą w bolesnem i znękanem ciała pochyleniu. — Gniew zczerwienił lice królowej, ale tak była zdumiona nieoczekiwaną, niesłychaną tą odpowiedzią, że na chwilę oniemiała.—Staruszka, blada niezmiernie, położyła czoło na marmurze schodów.— „Boże,“ szeptała, „jak mi słabo! Czy to już śmierć?“ — Królowa tymczasem opamiętała się. — „Kofetuo,“ rzekła do syna, „postaw nogę na tym nareszcie ugiętym, tak długo pysznym karku!“ — I dziecię posłuchało.

Staruszka zerwała się nagle i wzniosła ręce, jakby klątwę chcąc rzucić; gdy wszakże wzrok jej spotkał tę niewinną twarzyczkę dziecięcą, wstrzymała się wzruszona, zapatrzyła w marzące, dobre oczy pacholęcia, i dwie łzy wytrysły jej z oczu, spłynęły pomału po twarzy i spadły na jego głowę. Królowa była znowu nieskończenie zdumiona. — „Czemu płaczesz?“ spytała głosem miększym, niż była kiedykolwiek do staruszki mówiła. — „Bom w tej chwili, w okamgnieniu niepojętego mi

objawienia, czytała całą przyszłość tego dziecięcia.“ — „I to wycisnęło ci łzy?“ zawołała z niepokojem królowa. „Co wiesz o jego 'przyszłych losach? Co grozi mu?“ — „Pozna omyłkę twą. Rzekłaś mu, że nic odmówionem mu być nie może, że wszystko będzie w jego mocy. A jednak skona kiedyś z...“ — Staruszka padła bez sił na stopnie i posiniała cała. — „Domów!“ zawołała w trosce śmiertelnej królowa, „domów, czego ma się strzedz?“ — Ale staruszka, zamiast jej słuchać, konała. — „Domów!“ wykrzyknęła rozpacznie królowa, „domów! Ty umierasz?“ — „Z tęsknoty!“ zaszeptała niewolnica, wyciągnęła ręce w kierunku morza, i w rozmarzeniu gasnących jej źrenic widniała cała otchłań tęsknicy. Potem łkanie głębokie wstrząsnęło silnie jej piersią, padła na wznak i była martwa. — „Depczcie ją! Rzućcie ją w morze!“ wykrzyknęła królowa z nieludzką namiętnością. „Nie domówiła! Przez zemstę milczała! Uszła mi, uszła! Zwyciężyła!“ — I w największem uniesieniu odbiegła, otulając syna w płaszcz swój, ciężko złotem wyszywany. Niosła dziecię w szalonym, nieokreślonym strachu do wnętrza warownego zamczyska.

Ten to wypadek wspomniał teraz, po długich latach, młody król Kofetua, wyjeżdżając z grodu i udając się w drogę, mającą powieść go kędyś w nieokreślnę dale. Osierociał prędko, ojciec i matka spali dawno pod porfirową tablicą, w mrocznym cieniu zamkowego kościoła, gdzie dniem i nocą złote lampy wonnie

dymiąc gorzały i obrazy świętych na przepysznych mozaikach po ścianach w mistyczne otulały obłoki.

Król Kofetua nie miał ani zdobywczej dumy swego ojca, ani bluźnierczej pychy swej matki. Rozkwitał cicho w tem groźnem zamczysku, jak roślina w skał chmurnych rozpadlinie, a dusza jego była czysta jako błękit niebieski i jako on głęboka i pełna światłości gwiezdnej. Ta płynęła mu z oczu zadumy pełnych, dziewiczy jakiś czar tchnął z całej jego osoby, jak woń tchnie z lilii kielicha, i zaiste, że w bieli swej cyzelowanej zbroicy, z tem czołem z kości słoniowej, z tą falą jasnych włosów, w efebicznej, smukłej swej piękności, podobien był owej lilii, którą kunsztmistrz w wielkich rozmiarach ze srebra był wykował i którą olbrzymi, jako wieża, posąg Matki Bożej, wznoszący się na skale wysoko nad zamkiem, w ręce trzymał, w stronę zórz porannych, aby białe gołębie, krążące ustawicznie nad blankowaniem chmurnych grodu murów, rosę z niej piły. Król Kofetua wyjeżdżał teraz w świat za widmem. Kto za niem nie ugania na drodze żywota? Zjawiło mu się, jak gwiazda wschodząca pod wieczór w marzącym półzmroku. Była to postać dziewczęcia. Ujrzał ją jednego razu z okna, w dole, śród tłumów u portu. Piękność tego zjawiska uderzyła go. Pośpie-

szył z zamku do przystani, ale znikła tymczasem. Tłum nie widział jej, tłum zawsze jest ślepy. Król Kofetua napróżno kazał jej szukać. Nie było po niej śladu. Wówczas opanowała go tęsknota, jak choroba. Szukać tej, która jako promień przenikła w mrok jego wnętrza, stało się dlań całą treścią żywota. Gdy wszystkie poszukiwania zostały bez skutku, postanowił jechać w świat daleki i nie wracać bez niej. Dla tego to żegnał się teraz z krajem rodzinnym, dla tego to dumał teraz na miejscu, gdzie ongi stara niewolnica zapłakała nad nim i gdzie prorokując i nie domówiwszy umarła.

Tęsknota niezmierna, smutek niezmierny, bojaźń niezmierna opanowały go, i rzekł do piastuna swego, starego męża, który go odprowadzał do bramy zamkowej: — „Umarła z tęsknoty, tu, na tem miejscu, owa branka nieszczęsna! Czy zginę z tęsknoty i ja? Czy nie rzuciła staruszka owa klątwy na mnie i czy klątwa ta nie zaczyna się spełniać?“ — „Nie klątwom podlega człowiek, lecz swemu losowi,“ odpowiedział piastun. „Jako gwiazdy krążą drogami im wyznaczonemi, jak rzeki płyną łożyskami im wymierzonemi, tak idą tęsknoty głębiami dusz naszych. Kamień dopadnie, kędy ciężar gna go, osiągnie tedy spoczynek należny — tęsknota wszakże nie każda znajdzie ukojenie i kres. Biada sercu, które tęskni daremnie i któremu nie dano tęskność swą ukoić! Błogosławię ci, Kofetuo. Niechaj tęsknota twa nie będzie podobna promieniowi, który wyszedł z gwiazdy i pada wiecznie, wiecznie,

w przestrzeń nieskończoną, nie spotykając oka, któremuby światłem był!“ — Położył mu rękę, błogosławiąc, na głowie, z której król hełm był zdjął, głęboko chyląc się przed starcem. Po chwili wyprostował się Kofetua, skinął piastunowi raz jeszcze ręką, uśmiechnął się smutnie — i już oto na czarnym rumaku uganiał w dal, a za nim huf cały rówieśnych mu druhów. Srebrnie dzwoniły ich zbroje, srebrnie połyskały. Jeźdźcy zanurzali się coraz bardziej we mgłach dalekiego widnokręgu, aż wreszcie oczom ciągle za nimi patrzącego i ciągle błogosławiącego starca zniknęli.

Jeździł długo król Kofetua po świecie dalekim, jeździł od miasta do miasta, od grodu do grodu, od wioski do wioski, zaglądał do samotni leśnych, wstępował na wysokie góry, żeglował do pustych ostrowów, lecz nigdzie nie znalazł tej, której szukał. Król Kofetua i jego rycerze bywali gośćmi w pałacach z kryształu ze złotemi bramami, w domach z marmuru z bronzowemi wroty, zasiadali w salach, których stropy wspierały się na kolumnach z jaspisu, za stołami z hebanu, wchodzili do ogrodów, kędy drzewa pod róż modrych brzemieniem ku wodom dyamentowego chyliły się blasku; król Kofetua i jego rycerze wstępowali do twierdz wznoszących się na urwistych skaliskach,

gdzie słychać było wciąż poszczęk oręża, nawiedzali zamki, śniące w gajach, gdzie słodkie śpiewy trubadurów szły w zawody z świegotem drozdów i słowików, szukali w domach kupców i mieszczan, w dworach białych, strzelających z morza dojrzałych, cicho, sennie szeleszczących kłosów, wchodzili do chat słomą poszytych, zaglądali w mroki więzień — ale nigdzie nie było



tej, której szukali! — Co kobiet i dziew tak widzieli, tu uginających się prawie pod ciężarem dyademów i klejnotów i wlokących brokaty po chalcedonowych podłogach, tam klęczących, jako lilie, w bieli dziewiczej w mrokach katedr prastarych, ówdzie pracujących pod skwarem słonecznym na polach i niwach, a gdzieindziej jeszcze marzących w pełnych woni ogrodach! Widzieli nawet one otulone w habity zakonne i wołające w ekstazie do Boga za gęstemi kratami klasztorów! Ale tej, której szukali, nie było między niemi wszystkiemi, i król Kofetua stawał się coraz bledszym. Znużenie opanowywało nie ciało jego, lecz ser-

ce, nadzieja jego gasła, i rzekł wreszcie w smutku: „Jej niemasz nigdzie, ona istnieje tylko w snach mej duszy! Ach, tęsknota moja jest tym promieniem, co wiecznie pada w mrok i nigdy niczyjemu oku światłem nie będzie!“ — I zwiesił głowę, i w beznadziejnym smętku jechał w dal pustą, a za nim chmurnie, milcząco ciągnął huf jego rycerzy.

Aż jednej nocy przyszli do miasta na wysokiem wzgórzu, zbudowanego z modrawych, przejrzystych marmurów, księżycową przesiąkłych poświatą. Widzieli od podnóża góry, przez otwartą bramę, ulice; były puste i bezludne, tylko w samej głębi wielkiego placu, kędy pięć fontann szafirowe w niebo miotało wody, błyskało coś, jak światłość biała, która ludzką przybiera postać. Od bramy środkowej wiodły szerokie schody po stoku w dół ku śniącemu jezioru, modremu jako marmur budowli i wież, kolumn i portyków tego niewidzianego miasta. Po obu stronach schodów spływały cicho jasne wody, szukające spoczynku w łonie jeziora, a po samych schodach słaniała się wstęgą magiczna smuga poświaty miesięcznej. — I było cicho, cicho, tylko te wody śpiewały. Z niebios, w których głębi światło zlewało się z mrokiem, dżdżyły marzenia i gwiazdy spadające. Owa biała światłość, która zdawała się kroczyć przez plac, kędy fontanny tak tęsknie

wytryski swe ku zlatującym gwiazdom rzucały, stała teraz w bramie—i, o dziwo! była to młoda dziewczyna: Zstępowała powoli po schodach, przez które spływał pas poświaty miesięcznej, i zdało się, że sama bogini księżycowa unosi się tak na falach swej własnej jasności: ale cała najbielsza światłość biła tylko z czoła z kości słoniowej tej niewypowiedzianie pięknej i świętej postaci kobiecej. Była wysoka. Włosy miała ciemne jak noc i pełne błękitnych odblasków. Oczy jej były modre, jako marmur przejrzysty, z którego owo miasto apokaliptycznej powierzchowności wyciosane było, a jako niebo, w którem mrok zlewał się ze światłem, roniła głąb' tych jaśniejących a wpółomdlałych źrenic gwiazdy i sny! Nigdy jeszcze podobne oczy na świat nie patrzyły: przez tajemniczą jakąś właściwość spoglądały one tylko w dal, zawsze w dal, i żaden przedmiot blizki w nich się nie odbił. Dawało im to czar jakiś zagadkowy, nieziemski, nęcący i razem napełniający tęsknotą. Król Kofetua zeskoczył z konia, dech mu w piersiach się wstrzymał, złożył ręce jak do modlitwy: — „O duszo moja,“ zaszeptał, „raduj się! Znalazłem tę, która jest panią twą! Znalazłem tę, której po świecie tak długo i daremnie szukałem!“— Zbliżył się do niej, gdy właśnie zstępowała z ostatniego stopnia i nogą ziemi dotknęła. — „O zjawisko nadziemskie,“ zaszeptał król Kofetua, „czy wychodzisz

z miasta marzeń, aby przynieść spokój i mir duszy mej utęsknionej?“ — Milczała i patrzyła w dal nieskończoną. — „Powiedz,“ prosił król Kofetua, „czy widzisz mię przed sobą i czyli głos mój dochodzi do twojego ucha?“ — „Widzę postać twą w dali, tonie w jasności miesięcznej. Słyszę twój głos. Czego żądasz ode mnie?“ odpowiedziała nareszcie powoli.

Tęsknota niezmierna ścisnęła mu serce. Ten głos, tak słodki, tak miękki, płynął jak gdyby z dali nieskończonej, i król Kofetua miał nagle smutne przeczucie, że czarowne zjawisko zostanie mu nazawsze dalekiem, choć tak blizko, tuż przy nim stało. I było mu nagle, jakby morze między nią a nim wzdęło się i szerzyło, jakby otchłań bezdenna tego nieba nocnego ich rozdzielała! — Serce bić mu przestało, wpatrywał się rozpacznie w marzące, zagadkowe, ku dalom obrócone oczy anielskiego widziadła i zawołał w niepokoju śmiertelnym: — „Zaklinam cię przez Boga żywego, byś mi rzekła, kto jesteś?“ — „Czyż nie widzisz?“ odrzekła.

Wskazała na swą suknię i podniosła jak we śnie proszącą o jałmużnę dłoń. Król Kofetua, ujrzał, że suknia była gruba, zgrzebna, podarta, że białe jej, niby z kości słoniowej, nogi — były bose i pokrwawione w nieskończonej, błędnej przez świat drodze. — „Tyś żebraczka?“ wykrzyknął zdumiony. — „Tak,“ rzekła swym jak ze snu płynącym głosem, utkwiła oczy w dali i jęła iść powoli

białym gościńcem, który wił się wkoło jeziora i wiódł ku ciemnym lasom, dumającym na jasnym widnokręgu.

Stał chwilę cicho król Kofetua, jak w słup obrócony, potem opamiętał się, położył palec na ustach, dając rycerzom znak milczenia, i skinął, by za nim jechali. Od chwili tej trzymał się wciąż za dziewczęciem w przystojnem oddaleniu, a rycerstwo jego jechało za nim tak cicho, z takiem wzruszeniem i z takim zapałem, jak on sam. Rój białych planet wędruje tak przez nieskończoność niebios, bez gwaru, niemo, jaśniejąco, za dyamentowem słońcem, które im duszą jest. Dziewczę szło niezmordowanie, dzień w dzień od rana do wieczora, a oczy jej w marzącej tęsknocie patrzyły nieustannie w nieznaną i nigdy niedoścignioną dal, i zdawało się, jak gdyby ani przeczuwała, że za nią ten piękny młodzian w zbroi srebrnej z hufem świetnego rycerstwa wciąż jedzie. I przyszli tak do głębokich dolin alpejskich, przez które szybko zielone toczyły się rzeki, kroczyli przez góry, na których szczytach chmury się tworzyły i w lazur niebios wstępowały, jechali koło urwisk, z których skakały wodospady, koło stoków i pochyłości, gdzie ciemne sosny i świerki szumiąc dumały, a w cieniu ich krynice ku blademu, srebrem przetykanemu niebu modre oczy swe otwierały.

Przyszli do zawartych stromemi skałami przesmyków, przez które niegdyś tłumy barbarzyńców północy, jak spienione potoki, do ziemi słońca się waliły, wyszli w końcu na niwy, gdzie na drzewach złote owoce między ciemnemi, metalicznie połyskującemi liśćmi się kołysały, weszli do ziemi wyniosłych laurów i poburzonych świątyń marmurowych, kędy pozwalane z piedestałów posągi bogów w smętku i prochu leżały, kędy mistyczne katedry obok tych zwalisk w górę się piętrzyły, i nareszcie wkroczyli, gdy pewnego dnia słońce ku zachodowi się chyliło, do martwego miasta, niegdyś potężnego i wspaniałego, niedaleko morza i niedaleko ogromnego piniowego lasu.

U grobowca, którego kopuła była wyciosana z jednego, olbrzymiego złomu granitowej skały, u grobowca, kędy spoczywał bezsilnie proch niegdyś wszechwładnego króla gockiego, przodka króla Kofetuy, zaszedł tenże po raz drugi drogę żebraczce i rzekł: — „Jestem królem także. U morza sinego stoi mój mocny, obronny, wyniosły gród. Ty żebrzesz po drogach, a nogi twe, białe jak kość słoniowa, bose są i krwawe od długich pielgrzymek. Posadzę cię na tronie. Koronę włożę ci na głowę. Będziesz żoną moją i królową państw moich niezmiernych. Zgadzasz się?“ — „Po cóż miałabym z tobą iść?“ spytała, utkwiwszy te zagadkowe źrenice swe w oddali. „Nieskończoność większa jest, niż twoje państwa, a jest państwem mojem.“—Król Kofetua zwiesił głowę i odpowiedział: — „Czyliż nie smutno ci wiecz-

nie tak wędrować? Spoczniesz na tronie mym, a na sercu mem dojdziesz do kresu błędnej swej drogi. Przestaniesz tęsknić, i oczy twe nie będą wiecznie spoglądały w oddal nieznaną." — „Myślisz?" odpowiedziała, i oczy jej stały się bardziej marzące niż kiedybądź.

Król Kofetua rzucił się przed nią na kolana. — „Tyś moja tęsknota!" zawołał, składając ręce, „o, nie daj mi umrzeć z boleści! Czyliż nienawidzisz mnie?" — „Czemużbym cię nienawidziła?" odrzekła. „Toć nic złego mi nie zrobiłeś." — „Bądź moją zatem," błagał król Kofetua. — Nie odpowiedziała, zachmurzyła się, wreszcie rzekła: „Nie kocham cię, królu. Miłość twoja bez wzajemności przeminie jak sen." — Łzy lały się pięknemu młodzianowi po zbladłej twarzy, stłumił wszakże łkanie, które mu piersi wznosiło, i szepnął: „Miłość moja, nawet bez wzajemności, nie przeminie. Miłość rodzi się z tego, żywi się tem, co daje, nie tem, co odbiera. Bądź moją, bądź moją!" — Spuściła powoli głowę i rzekła smutnie: — „Weź mię więc, abyś dłużej nie cierpiał." — Bez słów, oszalały ze szczęścia, porwał ją na piersi.

Szli potem przez martwe to miasto wielkich bazylik i pustych pałaców, kwitnących ogrodów i wiecznie pamiętnych grobowców, szli bezludnemi ulicami i weszli do świątyni, gdzie z migotliwego złota greckich mozaik białe procesye apostołów i proroków, niby postacie

apokaliptycznego poematu, wielkiemi źrenicami na nich spoglądały, a za nimi, z tegoż jaśniejącego tła, symboliczne zwierzęta, tu jelenie gaszące pragnienie u krynic, tam gołębie pijące z szerokiego naczynia, wynurzały się harmonijnie, zlewając poetyczny wdzięk swój z epiczną podniosłością ludzkich postaci na tych obrazach.



Pod baldachimem, okrytym przepysznemi haftami, na którego ciemno lazurowej głębi złote gałęzie, latorośle i kwiaty niewidzianych na ziemi roślin w pełnej wdzięku harmonii plotły się i przewijały, stał niedaleko wspaniałego sarkofagu tron ze słoniowej kości, mistrzowską rzeźbiony ręką, pełny wypukłych obrazów lwów i ptaków, winogradów i kłosów, świętych i aniołów. Na tronie siedział stary ksiądz, odziany w purpurę, z rękoma wyschłemi i pożółkłemi jakby z kości słoniowej, a połyskującemi całą skarbnicą prastarych pierścieni, iskrzących się szmaragdami i rubinami w mroku świątyni. — U nóg tego książęcia kościoła kląkł król Kofetua i ręką drżącą ze czci głębokiej, jak gdyby umarłego dotykał, pociągnął go za płaszcz purpurowy, prosząc, aby mu błogosławił i przed Bogiem z żebraczką go zaślubił. — Wstał pomału stuletni starzec i, jako ze snu zbudzony, zwolna otrząsał się z nieruchomości, opierając się o sarkofag z mar-

muru, bronzu i srebra, w którym widać było przez wązki otwór dotlewające, zczerniałe zwłoki rzymskiej augusty, siedzącej na nizkim stolcu z szyldkretu i konchy perłowej: próchno i popiół w świetności złotych klejnotów, pereł i drogich kamieni i w upokarzającej nicości i straszliwem osamotnieniu grobu!

Ksiądz chwiejnym krokiem oddalił się od tego pomnika pychy i krótkochwilowości ludzkiej, uśmiechnął się w zamyśleniu do pięknych postaci króla Kofetuy i jego oblubienicy, postaci zdających się mówić tak dotykalnie o szczęściu, wiośnie i nadziei, zwrócił się ku ołtarzowi, zbudowanemu z przejrzystego alabastru egipskiego, przez którego rzeźbione, blado żółte jak księżyc ściany, gorejące wewnątrz srebrne lampy słodką, niby brza-



sków rannych światłość w półmrok kościelny rozlewały, i tam połączył ręce oblubieńców na związek wieczny.

Jako w śnie, ujął król Kofetua, po świętym obrzędzie, żonę swoją w pół, posadził ją przed siebie na czarnego rumaka i w cwał popędził z miasta martwego, które za nim zapadało w mgły, ku zorzom nowego żywota. — Jechali długo niezmiernym lasem piniowym, z którego wonie biły ku niebu jak upajający dym z kadzielnic olbrzymich. Trawy wzdymały się i uginały, jak fale jeziora, a były pełne białych gwiazd, tak, iż zdało się, że droga mleczna rozsypała się w pyłki i jako śnieg w łono boru napadała. A ptaki śpiewały i wietrzyk szeleścił. Płaskie, szerokie korony pinij tworzyły coś, jakby ciemno zielone obłoki, kupiące się w długie, długie pasma, równolegle jedno nad drugiem, a w oddali słychać było szum morza, jak nabiega-



ło na nizki brzeg i znowu pierzchało w tył, w swe własne, nigdy nieukojone, nigdy miru nieznające łono...— Jechali długo piniowym lasem, aż wreszcie dojechali do dmących się fal tego morza, na którem korab' żeglarzy północnych właśnie w słonecznych kołysał się blaskach. Miał postać smoka złotego, a żagle jego były czerwone jak krew. I korab' ten zaniósł króla Kofetuę i żonę jego przez szumiące wód bezbrzeża na północ, gdzie zamczysko, groźne jak burza na wysokim chmurzyło się brzegu. Uroczysty był to wjazd, i nikt się nie dziwił, że król żebraczkę tę pojął za żonę, bo piękniejsza była nad wszystkie dziewy, jakie dotąd się były zrodziły. Szał radości bił aż w niebiosa, a dzwony nie przestawały wydzwaniać, i tylko jedna smutna była w zamku twarz— twarz króla Kofetuy. Nikt wszakże tego niemego smutku nie spostrzegał, prócz starego piastuna, i do tego rzekł król:—„Jak mogę szczęsnym być, gdy dusza jej gdzieś w nieznanych błądzi oddalach? Dała mi słodkie ciało swe, dała mi współczucie swe, ale miłości mi nie dała. Trzymam ją w objęciach — a jednak tęsknota ma do kresu swego nie doszła. Żona ma, acz na sercu mojem spoczywa, jest mi zawsze daleka!" — A piastun rzekł mu: — „Męczysz sam siebie, a nie masz przyczyny. Żona twa

miłuje cię, wierz.“ — Ale król wstrząsnął głową. — „Pójdź ze mną,“ rzekł, „a zobaczysz. Nigdy oczy jej nie utkwiły w moich, acz z utęsknieniem rozpacznem spojrzenia ich szukam. Pójdź, a zobaczysz.“

I zwołał król Kofetua cały swój dwór, aby królowej oddawano hołd, i wiódł swą żonę do sali bursztynowej, i posadził ją na tronie ze srebra, nad którym brokatowy jaśniał baldachim, i kląkł u bosych nóg żebraczki, białych jak kość słoniowa a zakrwawionych niegdyś od nieskończonych przez świat pielgrzymek. U nóg tych złożył swą dyamentową koronę, i patrzał w górę ku żonie, i żebrał w niemym bólu o jedno spojrzenie. Ale jej oczy błądziły przez otwarte sali podwoje gdzieś w dali, gdzie między kolumnami z porfiru sine morze ku zamkowi prześwitywało, kąpiąc szumnemi wały marmurowe pałacu schody. — I bladł, bladł coraz bardziej król Kofetua, i zaciskał konwulsyjnie dłonie, i szeptał: „Miłość ma wzrasta przez to, że się stale oddaje. Wzrasta — ale trawi mnie, jak płomię trawi olej w lampie!“ — A tymczasem przynoszono królowej hołd czterech żywiołów. Naprzód matki naszej, wilgotnej ziemi. Dżdżyły róże i lilie, i wszystkie kwiaty niw, i młode kłosy pól na srebrny tron, a król Kofetua dodał do nich całą tkliwość swego zbolałego serca —

ale jej oczy, acz uśmiechała się słodko, patrzyły w dal.

Niesiono hołd żywiciela naszego, czystego powietrza. Słowiki i drozdy rozśpiewały się w bursztynowej sali, najczarowniejsze dźwięki skrzypiec i fletni przewiewały zamek jak chóry anielskie, a król Kofetua dodał jeszcze wszystkie lazurowe sny swojej duszy — ale oczy królowej, acz w uniesieniu złożyła ręce, patrzyły w dal. — Niesiono hołd koicielki wszech stworzeń, głębokiej wody. Polał się strumień cały jaśniejących pereł przed tronem, a król Kofetua dodał jeszcze wszystkie łzy swoje — ale ona, acz oczy jej wilgły, patrzyła w dal. —

Zapalono, jako hołd najpotężniejszego go druha ludzkości, świętego ognia, wszystkie wonności, przypławione z ziem obcych, dalekich do kraju, a gdy dymić jęły ze złotych i srebrnych kadzielnic i napełniły salę obłokami, przez które prześwitywała jeszcze tylko jasność morza i gwiezdna zorza tych dwu czarodziejskich, tajemniczych, nieodgadnionych oczu żebraczki, zapatrzonych tak tęsknie w dal, — wycisnął król Kofetua pocałunek na jej nogach, białych jak z kości słoniowej, a w pocałunku tym był cały żar jego miłości, cały czysty ogień jego duszy, cała młodzieńcza gorącość jego krwi i ostatnia iskra jego znicestwionego żywota. Jak złamana lilia leżał martwy na ziemi. — Rumieniec przeleciał, na dotknięcie ust jego, bladą jej twarz, i śród wyrzekania całego dworu lały się wdowie króla Kofe-

tuy gorzkie łzy z oczu; zajękła, siedząc na srebrnym tronie nieruchomie jak posąg, z dyamentową koroną na łonie, zajękła potrzykroć głęboko, ale oczy jej zamglone płaczem patrzyły jednak zawsze jeszcze w dal, w nieskończoność, w rozmarzoność, w zagadkowość, bo inaczej patrzeć na wieki nie było im dano...



Z „Rozmyślań.“



I.

Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś odejść precz,
Aby gdzieindziej być tej samej chwili,
Rojąc, że w jutrznię los twój się przechyli
Na innem miejscu... To codzienna rzecz!

Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś odejść w dal,
Bo wiesz, że nigdzie nie jest miejsce twoje —
I płyniesz, zawsze rozdarty na dwoje,
Bo płyniesz zawsze do nieswoich fal.

Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś iść gdziebądź,
Gdzie ciebie niema, bo gdzie ciebie niema,

Niema twych smutków — i twa rozpacz niema
Już cię nie trwoży... Dalej, wiosło trąć!

Gdziekolwiek jesteś, wiecznie dążysz tam,
Gdzie cię już nigdy i nigdzie nie będzie,
Boś tam na miejscu — i zawsze — i wszędzie,
Boś tam u siebie — u wieczności bram.

II.

Potrącona życia falą
Dusza moja łka:
Łzy się palą — łzy kryształą —
Wokół szara mgła.
Błędne było życie moje —
Błędny jego kres:
Marzeń roje — niepokoje
I krynice łez.
Siebie-m winił — i nikogo:
Nieszczęśliwa gra!
Inną drogą płynąć błogo —
Moja ścieżka zła.
Wirem złote sny rozwiane
Otoczyły mnie:
Zapomniane, opłakane
Widzę bogi w śnie. —

III.

Żem niósł zbyt nieostrożnie swoje serce w świat,
Przeto-m dziś ukarany... Żem go nie krył, ślepy,
Lecz że je wystawiałem na ludzkie oszczepy:
Rozbiło mi je życie, jak pszenicę grad.

Jak obłąkaniec piłem każdy życia jad
I skarb mój roztrzaskałem wszystek na czerepy:
Rozwiałem je na chmury, wichry i wertepy —
I widzę, że sam sobie byłem zawsze — kat.

Gdzież serca mego żywy nie pozostał ślad?
Lub jego cień w osłonie całunowej krepy?
Jakież mię nie nęciły widma? jakie lepy?

Czy zdołam zebrać szczęty, by ujść nowych zdrad?
Ożywić zeschłe drzewo wiosennemi szczepy,
By w duszy mej się nowy zazielenił sad?

IV.

Wybudowałem most —
I dwa złączyłem brzegi rzeczne,
Iż mogłem wprost
Z tej strony iść w jutro bajeczne...
Zostały za mną kresy ciemne,
Pełne snów i pocałowań
I rozczarowań...
Ale, choć mi ich żal,
Muszę płynąć w dal —
W te krainy niepojemne...
Pragnąłbym iść z powrotem,
Lecz głos mi woła: Spal!
O, chciałbym iść z powrotem —
Za młodości słońcem złotem...
Lecz głos mi rzekł:
Zapomnij i idź w dal,
Idź wprost
Na tamten brzeg!..
...Przeszedłem na tamten brzeg —
I spaliłem most...

V.

Na wiekuiście zmiennem łonie fal
Ja żyję, wiekuiście zmienny twór —
— Proteusz, bóg wyklęty —
Wiję się, opętany, żądny wiecznie
Swojej formy ostatecznej,
Lecz która wieczną mi jest tajemnicą!
Otom jest żmiją, otom hipogryfem,
Oto białoskrzydłą mewą,
I naraz staję się syreną,
I harpią jestem, i gorgoną,
I eumenidą!
Znów hydrą, i likornem, i znów lewiatanem,
I sfinksem, i chimerą!
I duchem bezcielesnym, i materyą żywą,
I czasem, i wiecznością!
Akteon i Endymion,
I Meleager i Orest,
Tantal i Syzyf — to ja!

I znów się w bezforemne kruszę elementy,
Jestem wichrem i obłokiem —
I szklanem powietrzem, —
Rykiem, poświstem, melodyą,
Tęczą, złotem, światłem,
Czerwienią, zielenią, błękitem,
Smutkiem i rozradowaniem,
Tęsknotą i rozpaczą!
Na wiekuiście zmiennej toni fal
Ja — Proteusz — bóg wyklęty —
Przelewam się w elementy,
W kształty i twory,
W ognie, dźwięki i kolory,
W oddechy, trucizny, potęgi,
W zielonych niw widnokręgi,
W nereidy i w trytony!
...O, ten szereg przemian nieskończony!..
W nieskończoności się toczę
Przez niepochwytne użrocze,
Coraz odmienny i nowy...
I nigdy nie zakończę tej wiecznej odnowy,
A każda zmiana — to wieczysty kłam,
Bo Proteusz bóg wyklęty —
Choć wiecznie inny — jest wiecznie ten sam!

VI.

Żem się sto razy rodził, umierał sto razy:
Przetom dziś umęczony życiem tylokrotnem
I śmiercią tylokrotną... A lodowe głazy
Rosły mi wciąż w tych przemian wirze kołowrotnym.

Przetoż za każdem nowem mojem zmartwychwstaniem
Nowy świat oglądałem i nowe plemiona —
I obce jakieś twarze — i obce otchłanie —
I wiecznie mię tęsknota gryzła nieskończona...

Przeto wszystko mi zda się coraz to odmienne —
I coraz bardziej obce — i bardziej znikome —
Więc wlokę utrudzone moje nogi senne
Między krainy coraz bardziej nieznajome...

I o jeden cud błagam Tajemnicze moce,
Bym się mógł raz urodzić na świat ostatecznie
I umrzeć ostatecznie... By zwalczyć te noce,
Co w ciemne kołowroty rzucają mnie wiecznie...

VII.

Śmierci, jam cię we wszystkie przyozdobił wdzięki,
We wszystkie kwiaty marzeń i wszystkie nadzieje...
Czy znajdę w twem królestwie czarowną Eeję,
Gdzie Cyrce niewidzialna leczy duchów jęki?

Czy znajdę zapomnienie to i ukojenie,
Którego tak potrzeba duchom umęczonym:
Może tam, za tym progiem istnienia zamglonym,
Niema nic? Może śmierć — to najwyższe złudzenie

I kłamstwo niepojęte... mrok i sen kamienny
I próżnia — i zaprzeczeń wieczysta bezlicość —
I zgnilizna bezduszna — i nicość — i nicość!..
Śmierci, a jam cię przybrał w złoty płaszcz bezcenny!

VIII.

Życie zagadką ci jest, lecz za dni żywota
Żaden ci duch tajemnicy owej nie rozmota,
Bo jakibądź jest ten świat, zbyt go oko w oko
Oglądasz, że zda ci się widmową powłoką.
Roisz więc oto, że śmierć zasłonę odchyli
I powie ci, co niepojęte było w danej chwili.

Lecz nowa cię — któż wie — tam zagadka pochwyci:
Czem jest śmierć? Tajemniczych pełne nici
Otacza cię nieustające w ruchu koło.
I gdy się w prochy już rozpadnie twoje czoło,
Zapomnisz pytać, czem jest życie, — i nanowo,
Czem jest śmierć? wołać będziesz — równie bezechowo.

IX.

W sercu mojem się toczy planeta umarła,
Co miała niegdyś wielkie zielone przestwory —
Gdzie kwitła biała Grecya i Roma żelazna,
Gdzie huczały wulkany i śpiewały pszczoły,
Złociły się uśmiechy i promienie zorzy.

I wszystko to zamarło — i wszystko zastygło,
I stałem się grobowcem, co ma w sobie trupa,
A choć to, co umiera, wyrocznią mogilną
Na śmierć jest przeznaczone — przecież owa głucha
Planeta skamieniała do łez mię porusza.

I chciałbym ją ożywić, by mogła zmartwychwstać,
I nieraz dnie i nocc nad tą pracą trawię,
By obudzić tę zmarłą — i by ją zapytać,
Jakie tam przebiegała tajemnicze dale,
Bo umarli w nieznanej przebywają prawdzie.

I te umarłe prawdy mają życie wieczne
I rządzą naszą duszą i naszemi słowy —
I wszystkie nasze czyny od nich są zależne —
I to jest ów ukryty byt nasz nieświadomy,
Co huczy w nas czasami jak zaklęte dzwony.

X.

W każdej chwili żywota jesteś w przededniu mogiły,
Jako wieczysty więzień, co kosy czeka śmiertelnej:
Czuwaj! Przygotowany bądź — i wszystkie siły
Zbieraj, byś wobec niej stanął nieskazitelny.

Jesteś jako skazaniec, co z ołowianych podziemi
Wchodzi na marmurowy Ponte dei Sospiri,
Gdzie cię kat zatrzymuje, byś spojrzeniami ostatniemi
Morze szerokie pożegnał — i marmury — i niebios szafiry.

I ogląda skazaniec — jakie to skarby zatraca —
I co mu niegdyś się zdało liche i obojętne,
Teraz ma tajemnicze kolory odświętne —
I marzeniem, wspomnieniem, tęsknotą się w oczach wyzłaca.

Tak my ciągle wchodzimy na jakiś most skazańców,
I opuszczamy cudowne jakieś weneckie pobrzeża,
I płyniem w nicość jutra do tych krańców,
Gdzie cała przeszłość w złote słońca się rozszerza.



A. Lange.

Tajemnica lorda Singelworth.

I.

Czy rzeczywiście były jakie ziemie Singelworth, we ważności baronii nadane przodkowi w linii prostej męża, o którym to moje wspomnienie zapisuję? I czy przeto ceremoniał ekscelencyi lub lorda tytuł były komu ze Singelworthów na potomność przyznane? Czy zatem, gdy takowy do uniwersytetu w Oksford lub Edymburgu wstępował, przyjmował go był rektor i profesorowie, mówiąc: „*Domine Singelworth*"? czy następnie brał on był udział w parlamencie? zasługi położył — ożenił się z damą równie świetnego pochodzenia jak blask jej włosów blond, dzieci miał z nią

i umarł...? Czy też raczej Singelworthowie byli zacnymi właścicielami rękodzielni, wyrabiającej perkaliki albo rzeczy cynowe i stalne?... Wszystkie te i rozliczne inne, z onychże pochodzące zapytania ażeby zaspokoić, należałoby nie ulotną kreślić *nowelę*, za zadanie mającą wyjątkowe jakie spostrzeżenie psychologiczne utrwalić obrazem wiernym, lecz należałoby rzeczywiście być romansopisarzem w rzemiośle swem uzasadnionym i w sztuce biegłym. W tamtem pierwszem albowiem zadaniu starczy, gdy uręczymy, że we wszystkich wielkich hotelach Europy i Wschodu mówiło się powszechnie „lord Singelworth" i że tak brzmiało jeszcze przed samemże przybyciem osobistości podróżnego, którego uprzedzał zwykle *major-domo* i aeronauta z pomocnikami i z przyborem do puszczania balonu.

Nieinaczej też zaszło i w Wenecyi w hotelu pod *białym lwem*, gdzie od wielu już dni wylądował był i aeronauta z przyborami zatrudnieniu jego właściwemi i *major-domo* lorda. A skoro pierwszego i pierwsze odesłano na wyspę *Lido*, zkąd swobodnie dawa się puszczać balon, i skoro drugi objął przygotowany apartament, przypłynął nareszcie osobną gondolą lord Singelworth, wstał, wystąpił ze smukłego i czarnego statku na lizany słoną wodą kamień progu i obojętnie wszedł do siebie, nie jak się gdzie przybywa, lecz jak się wraca.

Aeronaucya kilkadziesiąt lat temu nie była upowszechnioną tak rzeczą, jaką się ona dziś komu wydawać może; wszelako i współcześnie, gdyby kto nieod-

stępnie ze sobą balon woził dla swej osobistej przyjemności i takowego codziennie o tej samej godzinie i nieledwie minucie używać nie omieszkiwał, istotnie, że dawałby pole do domniewywania ochotnego przyczyn takiej pilności. To też gdziekolwiekbądź Singelworth bawił i wertykalnych swoich a codziennych wycieczek dopełniał, wszędzie i zewsząd, stosownie do zgadobliwości miejscowego umysłu i pochopów humoru, opowiadano, głoszono, zaprzeczano i uręczano, iż te a nie inne są powody znanych lorda zachodów lub ćwiczeń. I czy to nad lekkiemi Kairu albo Konstantynopola minaretami balon jego wznosił się, czy nad złotemi i ciężkiemi kopułami Moskwy, czy nad Wiednia lub Paryża mrowiem, wszędzie i zawsze, z wyjątkiem dni zabawom publicznym poświęconych, dościgany bywał powietrzny podróżnik to głębokim domysłem, to bystrym dowcipem, to nareszcie trywialną anegdotą. Pociski te jednakże obijały się ostatecznie o drzwi twarde zamkniętej tajemnicy. *Plotek,* we właściwem tej nazwy poziomej znaczeniu, być mogło w Wenecyi więcej, aniżeli w innem jakiem mieście. Owoczesny despotyzm władzy austryackiej musiał mieć tę nieodłączną od siebie ostrożność, granic naturalnych nieznającą, która czyni, iż lada poszept, rosnąc szybko, nie spotyka także swych naturalnych granic, i że im bywa więcej uwstręconą wolność opinii jawnie i swobodnie wyrażanej, tem głębszej, donośniejszej i bardziej piorunnej siły nabierają przemilczenia, niedopowiedzenia, mgnienia powieki, chrząchnięcia i kichnięcia!... Felietonista któryś w Paryżu

napisał był, iż aeronautyczne lorda Singelworth wycieczki powodowane są jedynie staraniem około hygieny osobistej i że domysł ten potwierdzają *necessery*, jakie w podbalonowy kosz, uważano, gdy były pakowane. Nadto, sztathalter prowincyi wschodniopruskiej hofrat Schwantzmeyer, który równolegle i równocześnie do podniesienia się balonu lorda wysłał był utwierdzony na linach balon rządowy, ze sobą unoszący bystrego dyrektora policyi i przysięgłego adjunkta z obserwatoryum, uzbrojonego mocnemi lunetami, — zatwierdził był podobno w swoim raporcie do Berlina, iż we wycieczkach wiadomych niema nic zagrażającego stanowi rzeczy. Że z jakniebądź staranną delikatnością wnoszone do balonowego kosza puzdro nie zawiera przecież przez to samo prochu strzelniczego ani żadnej materyi palnej, lecz że obejmować się zdaje sprzęt cenny a łomliwy, jakby np. etruską okrągłą wazę albo porcelanową. I że wszystko, czego adjunkt obserwatoryum najstaranniej przez lunety dociekał, odnosić się zdawa do najosobistszych lubo oryginalnych lorda zwyczajów. A jakkolwiek niemiecki jeden profesor w Heidelbergu wniósł, iż lord Singelworth meteorologiczne zbiera postrzeżenia, dotyczące oddziałań, które zachodzić mogą pomiędzy miejscową masą atmosfery wyrabianej życiem i ruchem miast wielkich, a pomiędzy naturalnem kolumny atmosferycznej parciem, i że przeto właściwiej powinienby być postrzegacz zachęcanym niż szydzonym; jednakowoż owo pierwsze felietonisty francuskiego zeznanie, obostrzone raportem sztathaltera, tak szerokiego

i trwałego nabrało było rozgłosu, iż domysły wszystkie przy niem gasły. Rzecz dziwna! jak uznanie masy przenosić się może łatwiej na to, co z pozoru na wiarogodność żadną nie zasługuje... W Wenecyi twierdzenia te i tłómaczenia stały się powszechnemi tak dalece, iż do ostatecznych krańców popularności miejscowej wraz dobiegły. — Czyli, że improwizator publiczny *Sior Toni di Bona Grazia* *) — osoba historyczna, którą wielokrotnie słyszeć miałem przyjemność, policzył był historyę aeronaucyi lorda do przedmiotów swoich genialnych konferencyj, na zaludnionym pod wieczór placu Ś-go Marka zagajanych. Co zaś Toni di Bona Grazia zmierzył okiem, z cieniu galonowanego trikorna iskrzącem, co wyseplunił wargami arlekina (atoli Arlekina klasycznego z czasów etruskich), czemu nadał ton, potrząsając na swoich piersiach wielkiemi dekoryacami, z kłów wieprzowych, muszli i błyskotliwych blaszek udziałanemi, to, nie trzeba myśleć, ażeby, znikomem parsknięciem śmiechu będąc, przemijało jak klask i piana uderzonej wiosłem laguny. Zda-

---

*) *Toni di Bona Grazia,* znany i ulubiony wenecki improwizator, niezbyt dawno zakończył swój żywot. Ilustrowane czasopisma podały wizerunek jego w całej figurze i w odzieży, jaką zwykł był przywdziewać, który jest podobnym. Lecz co do tekstu przy onym rysunku, śmiemy utrzymywać, że kilka rysów w tej naszej noweli spotkanych i wierniej i właściwiej malują tę postać i jej talentu rodzaj.

Przyp. aut.

rzało się owszem, że i dygnitarze austryaccy nieopieszale raczyli się byli wsłuchiwać w te wulgarne mówienia, których sól, jakkolwiek dobrze licencyami gminnemi zaprawna, dawała się jednak niekiedy napotykać nawet i na eleganckim stole gubernatorowej Wenecyi, hrabiny P....

Improwizatora popularnego zadanie, w kraju podbitym i w stolicy nieledwie marsowem rządzonej prawem, zaiste, że nienajłatwiejszą rzeczą być mogło. Trudności w tym względzie spotykane ułatwiało mu jedynie to obszerne *buffo,* w które się, co chce, wmieścić dawa, ale które właśnie dla wielkiego swojego rozszerzenia musi być płaskie. Śród tak małej dziedziny politycznego i literackiego życia każda barwna nowinka stawała się uwagi godną treścią. Improwizator względem przybycia lorda Singelworth postawił się jako obrońca sławy osobistej podróżnika.

„Dopókąd-że", mówił Toni di Bona Grazia, „dotykać będą nierozważnie latającego na powietrzu, którego *dotknąć* niepodobna? I do myślenia dawać będą: jakoby ktoś nad najznakomitszemi na świecie miejscami dlatego tylko unosił się, ażeby tam warunków poziomych hygieny dopełniać... ażeby (mówię) *splunąć z góry!...* i do innej stolicy albo do innego historycznego miejsca po toż samo udawał się?! — Jestże podobieństwem, ażeby sam widok monumentów stolicy jakiej nie poruszał ducha i serca? Wieże wysokie świątyń, łuki tryumfalne, kolumny zwycięzkie nie mają-ż uroczystej siły zachwytu?... Wprawdzie..." *i tu monologista biegły odmieniał nagle głos jak*

gdyby ktoś z za sceny wdał się w rozmowę, „wprawdzie, ażeby starożytną lub ubiegłą zachwycać się swobodnie tryumfalnością, należałoby usilnie zapomnieć, iż z tych gotyckich wież, z tych tryumfalnych łuków i kolumn, tego rana, wczora i w różne onegdaje, zrzucali się rozpaczą gnani śmiertelnicy nieszczęśni i podobno że zrzucać się dziś jeszcze zamyślają lub będą jutro *). Atoli, i przez takowy deszcz krwi i łez patrząc na architekturę piękną, można nie być nieczułym estetycznie!..." Tu Toni di Bona Grazia kichał silnie i powoli wyciągał z kieszeni szerokiego fraka chustkę jaskrawej barwy, a po użyciu onej tak dalej rzecz prowadził:

„Starożytne gmachy, np. więzień naszych, *Piombi* lub *Most westchnień,* z góry widziane, podobno, iż wydają się oku jak pełzające płaskie robactwo: ale nie myślę, ażeby cztery konie Świętego Marka, kiedy zarżą płucami złotemi i zachwieją grzywami z korynckiego bronzu w słońca blaskach, widokiem były obojętnym! Tego jednak z wysokości wielkiej nie baczy się — jest to znikający w masach ciemnych wyjątek!... Lecz nie należałożby właściwiej podzielić

*) W niektórych miastach Europy możnaby z rzeczywistością statystyczną wykazać, ile na rok zrozpaczonych samobójców zrzuca się z jakiego monumentu dla roztrzaskania sobie czaszki — tak, iż nie od razu przytomny widz zgadnąć może, z jakim rodzajem uczucia godzi się oglądać i podziwiać te wzniosłości.

Przyp. aut.

i uzasadnić mniemanie, iż powietrzny *latawiec* ma w sobie jedną z tych głębokich historycznych tajemnic, które się dopiero po wiekach wyjaśniają. Znam wszelako przyczynę, dla której o tem się nie myśli... Twierdzą ludzie wytworny *nos* mający, iż upadł na wyspę Murano papier z balonowego kosza upuszczony... ten papier, dla niepróżno *nos* mających, miał wytłómaczyć wszystko!... Papier niezapisany czy jednakże podobna, ażeby tyle wysłowił? — — — Jest to podobna! o! świetna publiczności... jakkolwiek bowiem Wy! lubo słusznie, odwracacie oczy wasze od śmietników, mnie zdarzało się w głębokiem zadumaniu nad niemi stawać i odczytywać dzieje godzin ubiegłych z tych okrytych kurzawą palimpsestów! — Tu atłasowy ongi trzewik, konwulsyjnie skręcony, opierający się na stłuczonej butelce — tam guzik munduru wojskowego przeświecający z pod szczątków miotły — ówdzie siódemka czerwienna, as treflowy i wizytowa karta, połamane... dalej fiołków bukiet, który oto błędna i niedowierzająca kotka wącha... w pobliżu kałamarz pusty i nadużyte pióro, nieudolnie silące się podrywać z powianiem wiatru!... Szczątki te śmietnicze opowiadały mi były nieraz długie i zawiłe przypowieści — kto wie, ażali Muza moja nie była kiedyś szyfonierką!?... I dlaczegożby więc ów mały papier, który upaść miał z pod balonu na plac w Murano, nie mógł zdradzić lorda tajemnicy??... — Nie ubliży się wcale policyi Państwa Apostolskiego, że bywają w niej *nosy* tak dorodne, jakie i pomiędzy Neapolitańczykami spotkać niełatwo!”

Tak gdy improwizator zamykał rapsody swoje, upadały pieniążki na rozesłaną przed stopami jego na bruku chustkę. Słuchacze się zwolna usuwali — damy wielkie, przechodząc mimo, posyłały służącego, ażeby dorzucił garstkę monet do kasy zwijającego się teatru — oficerowie austryaccy ze staranną grzecznością przystępowali do dam i uwiadamiali je o wojskowej muzyce grać na placu mającej — gołębie raz jeszcze przeleciały nad tem wszystkiem, a zapewne na ten dzień raz ostatni, i Wenecya, nazbyt będąc oryginalną, ażeby mogła być ostatecznie ujarzmioną, pozostawała tem samem dziwnem miastem: miastem, w posadach swoich mającem pierwowieczną lakustralną konstrukcyę na palach; potem targiem rybaków i uskoków schronieniem; potem jeszcze miastem kramarzących z fenicka przedsiębiorców, związanych nareszcie w Republikę bynajmniej nie Spartańską, ale owszem noszącą bisior szeroki, który leniwo wlókł się za złotym jej sandałem, nieco na azyacki lub wschodni sposób szpiczastym i w górę podkrzywionym; miastem, które zaiste że przeżyło *idyllę, dramę*, nadużyło *tragedyi* i *komedyi*, i które, jako znudzona już wszystkiem wielka dama, pozostało piękne i czarowne: pochylając się co noc ku lagunom, gdzie przepadają kręgami złotemi gwiazdy drżące jak dożów ślubne pierścienie. A dla wszystkiego tego jednakże podziwu się ma więcej, niż żywego spółczucia człowieczego!...

O, historyo!...

Niemniej przeto znać tam mogłeś niemało pra-

wdziwych potomków patrycyatu, którzy milczeniem, taktem i dumną cierpliwością przyjmowali obcy rząd w ojczyźnie.—Tacy żyli w Wenecyi, jak gdyby w niej się znaleźli wygnańcami, a że bywało, iż niektórzy część tylko pałaców własnych utrzymywać mieszkalnie potrafiali, reszta gmachów pozostawała rozwaliną, — i ruinę własnej historyi za swojego dobrego miewali sąsiada.

Do tych jeżeli uczęszczałeś, wietrzyły się przed oczyma twemi butwiejące karty kronik Rzeczypospolitej i dawnego życia obrazy przeświecały. Jakoż, że do każdego z pałaców zarówno można dojść przez labirynt ciasnych od tyłu uliczek, jak gondolą dopłynąć od głównego wnijścia i od kanału, — skoro się przeto ową pierwszą i bardziej poufną drogą przychodziło, musiałeś odczytać naprzód ginące w murze małe wnijście — dotykałeś gałki bronzowej — drzwi otwierały się i wchodziłeś na średniowieczny pusty dziedziniec, zewsząd kamieniem słany. Jeżeli przyjętym nie mogłeś być, spuszczał się bezosobiście kosz na linie—wkładałeś weń kartę swoją i wychodziłeś nie widząc nikogo, a wszystko w ciszy, coś inkwizycyjnego, staro-weneckiego w sobie mającej. Lecz gdy owszem przyjętym byłeś, dolatał cię naprzód wywrzask papugi, i wstępowałeś potem po mozaikowych schodach, przedstawiających herby rodowe, częstotliwie złotym Dożów płaszczem obrzucane dokoła i dukalną ich czapką z góry pokryte. Wprawdzie gondolierów dwóch śpiewających Tassa rapsody (w dyalekcie weneckim) poszukiwało się bardziej w tem czarownem mieście, niżeli się wzdy-

chało do świata, do którego byłoby właściwiej, gdybym powiedział, że się powracało tylko wieczorem. Zaś i to jeszcze nawet, jak się powraca i wylądowywa na *Piazetta*, gdzie odgadujesz zdala śród przechodniów mantylę znajomą albo wstążki pomieszane z wachlarzem, z niesfornym puklem włosów i ze srebrnemi włóknami promieni księżycowych...

Niemniej przeto odwiedziny twoje u weneckiego patrycyusza ofiarowały ci były zwykle wzajemne uprzejme i swobodnie stręczone zawdzięczenia. — Parę razy w tygodniu pod okna twe podpływali, bywało, czarni wioślarze od pałaców, ty zaś, do leżącego w gondoli gościa ze stosownym gestem gdy rzuciłeś staro-wenecki wyraz „*s-ciao*" *(schiavo)* — „twój niewolnik!" czyli „*uniżony sługa mojego pana!*" i takież samo „*ciao*" ze słonym powiewem lagun do okna gdy odebrałeś, — zbiegało się rączo, rzucało w gondolę i płynęło śród klasku wioseł z rytmem ich, jak kiedy poeta, lubo nie obmyślił ściśle ram i wszystkich efektów utworu swego, wie jednakże, iż ten się wykoleić mu nie podoła z twórczej jego energii. W dnie zaś wycieczek tak mało obmyślanych nie domniemywałeś już, gdzie śniadać lub obiadować będziesz. Zarówno albowiem zdarzyć się to mogło gdzieś na krańcach przedmieścia z rybakami przy brzęku prostych szklanek wina, lub też, po wczesnym powrocie na łono miasta, u stołu którego z hotelów wielkich, śród wykwintnych dam i cudzoziemców.

II.

To jest tak dalece trywialne,“ mówił dziś przy właśnie-że opuszczonym długim stole w hotelu *lwa białego* hrabia Antonio della Brenta, „to tak trywialnem jest, że zaledwo w brukowej improwizacyi naszego lubego di Bona Grazia ujść może...“

„Wielce przepraszam, że zaprzeczę!“ odpowiedział kawaler di San Luca, wzięty wenecki doktór. — „Lord, chociażby nawet rzeczywiście miał jedynie na celu uregulowanie żołądka swojego przez heroiczną i peryodyczną zmianę atmosfery, nie zasługiwałby bynajmniej na pośmiech u pokornie i nieco głębiej zastanawiających się nad człowiekiem!..“

„— Ależ ów *papier* — *papier!* bez napisów i jedynie czytelny dla nosów cesarsko-austryackiej policyi...“ zawołał zbyt głośno D... (którego *wielkie weneckie nazwisko* przemilczamy, ażeby go w poziomą rzecz nie mieszać).

„Papier! i czyli istotnie piśmienny papier?“ szeptać zaczęto...

Dama u przeciwnego końca stołu, która jeszcze się była zatrzymała zarazem dla dziewczynki i dla deseru, wstała, wzięła dziecko za rączkę i wyszła zwolna, poszukując ręką drugą chustki do nosa. Dziecko się na pomarańczę oglądało. — — Rodzice częstotliwie nie chcą gorszyć dzieci rozmową pustą wtedy, kiedy one przedewszystkiem o pomarańczach myślą! I przerywając im ich marzenia słodkie i wonne dla uchrony od czegoś, względem czego zupełnie są one obojętnemi, unoszą dla siebie samych wzgląd i uszanowanie. Naśladować tak jałowego przykładu nie zamierzamy tu w opowiadaniu naszem, tem bardziej, że wydaje nam się krytycznym pewnikiem niezachwianym, iż takowy pisarz lub artysta, który musi odrzucać treść rubaszną, albo treść mogącą powalać białość papieru i sklepową jego zniweczyć świeżość i wonność, zaiste, że nie wiadomo od czego jest artystą? albo pisarzem? Dopiero umiejąc wszystko wypowiedzieć, jest się wolnym, a bez tejto wolności sztuka nie może mieć istotnego ruchu i życia, stawając się powtarzaniem tylko i stosowaniem zdobytych wpierw lokucyj. Że deserowego wina udział, czarna kawa i cygar dym podrażniły cokolwiek stronę nerwową sprzeczki o cel istot-

ny balonowych wycieczek lorda, to jest następstwem zbyt potocznem, ażeby zasługiwało na baczenie. —

„— Wyznać wszakże należy...“ mówił D..., „że są na globie miejsca tak bardzo niezdrowe z różnych powodów, iż ówdzie nie byłoby wcale dziwactwem uregulować co dnia siłę trawienia w warunkach swobodniejszych, powracając przeto i silniejszym, i przytomniejszym.“

Sposób ten widzenia spotkał potwierdzenie u kawalera di San Luca, wyrażone naprzód podniesieniem brwi a potem całego czoła poruszeniem, inne jednak osoby wnosić zaczęły, iż D... przechyla się na stronę tych, którzy za cel wycieczek lorda kładą interes osobistej jego hygieny, nie zaś meteorologiczne spostrzeżenia. A gdy, skutkiem tak wyraźnie i rozdzielnie postawionych opinij, coraz to uporniej zamieniano przeczenia, doszło do *zakładu*, i postanowiono nawet bardzo niezwykłą onego cenę. Ceną miał być złocony statek maskaradowy, który się na przybliżony właśnie dzień św. Marka przygotowywał i którego właściciel zamierzał sobie pierwszorzędny udział wziąć w regacie. Nie szło więc już o samo rozstrzygnięcie węzła wątpliwości, tyczącej obyczajów oryginalnego jednego anglika, ale szło o rzecz wenecką, i niecodzienną, czyli: pod czyjem nazwiskiem w dzień narodowej regaty św. Marka zajaśnieje na kanale wielkim świetna, złocista nawa?.. Moje zachowanie się podczas sporu, do tej szłego doniosłości, że być mogło zbyt obojętnem i wyłącznem, uważałem za właściwe przynajmniej kilkoma stosownemi wyrazy wziąć w nim udział. Wniosłem

przeto, iż rzecz sama przez się nie bardzo postąpiła, albowiem pozostawa pewne źródło posiąść, z któregoby zakładowe strony dowiedziały się, kto wygrywa?.. Spostrzeżenie zanadto proste, ażeby wygodnem było dla tego, który je zrobił, obróciło więc na mnie obowiązek praktycznej rady pod tym względem. A dolegany pytaniami, co i jak w tej mierze począć, wniosłem jeszcze, iż należy się poprostu odwołać do samegoż lorda, — że niemniej prostą rzeczą od nas a przystępną dla anglika jest użyć ku temu delegacyi od wszystkich opiniujących — tejże zaś, jako umocnienie, dać to, iż zawiązał się cenny zakład.

Rzecz, skoro się tak uwyraźniła jak wysokość mostu Rialto, i skoro przeto bytu jej przyczyn zaprzeczać nie można było, uważano za dobre mnie jako delegata naznaczyć, bo w zgromadzeniach radnych ten zazwyczaj, który wykazuje brak lub usterkę jaką obradowania, bywa koniecznie używanym do zaspokojenia słabej strony, którą wykazał. Gdym zaś zasłonił się nieco uwagą, iż delegacya nie może być na jednej osobie ograniczoną, lecz że winna mieć świadków i kontrolę swego postępowania, raczono mi dołączyć D..., hrabiego della Brenta i kawalera di San Luca.

Zebrałem przeto zaraz karty wszystkich deputacyi członków i do *major-domo* lorda posłałem z uwyraźnionem jasno i grzecznie zapytaniem, czyli i kiedy przyjąć nas lord Singelworth potrafi? A lubo ufający w następstwo przyzwoite, nie wiedziałem jednakże, co pozostałoby do zrobienia w razie odmowy i *jak przyszłoby to „wy-euripidować?..“* (Arystofanes

w Acharnach, przez usta Nikiasa). Niebawem wszelako z tej małej niepewności wywiódł nas *major-domo* lorda, który, kartę jego przyniósłszy, nas delegowanych uwiadomił zarazem o wyborze godziny przed-śniadannej dnia następnego, i że ta może być na recepcyę deputacyi najwłaściwszą, będąc najmniej odległą.

Jak spędziło się resztkę dnia owego? Na to administracyjnie odpowiedzieć można bez trudności w każdem innem mieście, które swojej wyłącznej *misyi* nie ma; lecz Wenecya ma misyę świadczenia człowiekowi, że jest fantastyczna sfera życia, że stolica nie jest tylko samem zcentralizowaniem administracyjnem kilku biur, — że plac może być salonem, bo to zależy od przechodniów i onychże obyczajności, — że na kościele katolickim mogą igrać cztery brązowe konie rydwanu Apollinowego, nic nabożeństwu nie szkodząc... I że przeto śmiertelnik na tym świecie nie jest tylko rodzajem nadkompletnego urzędnika, pełniącego o swoich godzinach własne albo cudze interesa, ale że i godność żywego członka bytu we wszech-stworzeniu posiada, a przez to samo może się i zadumać, i za-rozmawiać, i zabawić!..

W dniu jednakże następnym, ściśle o godzinie naznaczonej, znaleźliśmy się wszyscy u progów lorda, przez które nas dosyć ceremonialnie wprowadził do salonu *major-domo* i tamże na bardzo maleńką chwilkę samych zostawił. Czas miałem spojrzeć dookoła, to unosząc wrażenie, że najmniejszego śladu ani użytkowania, ani życia w tym salonie wcale nie było. Żadnej

kartki muzyki, żadnej książki, albumu, ryciny... karty wizytowej, etc.... Posadzka, jedynie, mozaikowa, odźwierciadlała wszystkie meble, polerowane jak kryształ, zaś poutwierdzane w ścianach weneckie zwierciadła odzwierciadlały znowu wszystkość, a ta, razem, więcej jasną i świetną była, niż uroczą.

Gdy lord wszedł i gdy zamieniliśmy ukłon, *major-domo* ustawił po dwa fotele z obu stron siedzenia gospodarza, ja zaś począłem prezentować Delegacyę: — naprzód D.... z monumentalnem jego weneckiem nazwiskiem, potem Antonio della Brenta, doktora di San Luca i samego siebie. Lord dał uważyć, iż we wszystkich nas rozpoznaje spółbiesiadników u jednego stołu, poczem zajęło się miejsca, — i zacząłem:

„Milordzie! więcej niż zbytecznem mogłoby być, gdyby się sprawozdawało, iż balonowe wycieczki Waszej Ekscelencyi nie dziś dopiero i nie w tem jednem mieście zwróciły uwagę publiczności, i że o celu ich domysły, będąc przez dzienniki głoszone, nietylko policzają się już do objawów opinii, ale nawet formują jakoby dwa stronnictwa, dwie szkoły. — Jedna z onych chce mieć za cel wycieczek spostrzeżenia meteorologiczne; druga ogranicza te egzercycye do potrzeb najosobistszej hygieny, i to nieledwie żołądkowej... Jednych i wtórych opinie do niczego nie obowiązywałyby nas wcale, gdyby nie to, iż znakomity *zakład* urósł na tak rozdwojonem zdaniu. *Zakład* zaś, Milordzie, słusznie ważonym bywał zawsze w obyczajowem prawie powszechnem Wielkiej Brytanii (bo po-

dobno, że zakład jest nawet jedną ze starożytnych form pierwszego prawa Celtycko-Bretońskiego i Anglo-Saksońskiego...). Jeżeli więc w tem, lubo potocznem wydarzeniu uciec nam się wypadnie, Milordzie, do stanowczego rozsądzenia Waszego, *która wygrywa partya?* niechaj to przy błahej treści swojej nie wyda się być mało-uważnie przedstawionem."

— „Sprawiedliwie sobie przysądzić wygranej nie będzie mogło i nie może żadne z dwóch stronnictw do zakładu doszłych. Względy albowiem czy to meteorologicznych spostrzeżeń, czyli ćwiczeń hygieny wcale nie stanowią *celu* głównego. Co do pierwszych, należą one do aeronauty mojego i spółpracowników tej osoby, zaś co do drugich..." — i tu się lord obrócił do kawalera di San Luca — „mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, iż dobrze przed mojemi balonowemi wycieczkami dbałem pilnie o uregulowanie sił trawienia. — Owszem! — wypadałoby powiedzieć, iż gdybym pierwej do takiej doskonałości nie dostąpił, wycieczki moje balonowe ani mogłyby być tak peryodycznemi, ani dawać tak pełnego zadowolenia. Cel wszelako onychże nie jest z tej sfery. — — Niestety! dla Europejczyków kontynentalnych muszą być tajemnice, mają oni albowiem to wspólnego z murzynami, *iż ze wszystkiego się śmieją, czego odrazu pojąć nie są w stanie.* Skoro więc niemożna dozwolić, ażeby wszystko się obracało w śmieszność, pozostawa *milczeć* i ztąd się nasuwa *tajemnica*... Lecz u tychże, tak łatwo śmiejących się jest w zamian piękne uczucie poważania z wielką łatwością donośnych

imion historycznych; będę więc umiał choć tem sobie posłużyć i pomódz na swojem miejscu, kiedy, w zupełny wykład celu mojej aeronaucyi zapuściwszy się, napotkam gdzie trudności, na uprzedzający śmiech zwykłe wykładającego rzecz nową narażać. — Przyczyną główną codziennego używania aeronaucyi jest moje *pojęcie o czystości,* — celem jest *czystość.* — Szlachetni panowie i cała spółczesność pojmujecie czystość jako *zaprzeczenie nieczystości.* Odpowiednia doza perfum staje w przeciwieństwie względem dozy odpowiedniej rozkładowego fetoru, jest to dla was czystym oddechem, bo taki już macie nerwów ustrój. Pewien rodzaj dualizmu powonienia i aspiracyi wyrobił się już wokoło was, i tak jest w ludziach, jak u niektórych pokoleń na Kaukazie rozdwojenie na zło i dobro pojęcia bóztwa! Tymczasem miasta wasze, siedziby i społeczności sklepią się, budują i rozwijają na kloakach... Te wykwintne kuchnie, które co dnia pod wieczór buchają aromatem wonnych przypraw i sosów, mają pod posadzkami swojemi trzęsawiska zgnilizny; — te ponętne błyskotem swym i elegancyą salony, gdzie równie lekki jak zefir trzewik tanecznicy walcuje z zefirem, są usklepione na podziemiach ciężkich i odrażających. Leniwe tam ramię rozkładającego się olbrzyma przeciąga się, ale nieustającą walkę co dnia i co chwila toczy — — — coś, jakby wciąż gnijący Laokoon, przewraca się w pieczarach stolic pod umiecionemi gładko ulicami!.. Prawda jest, że te i owe municypalności walczą mężnie, lecz, ażeby usunąć nieco falangę kału, muszą one całą falangę ludzi zdegradować, za-

mieniając ich w bryły bez powonienia i bez towarzyskiego wdzięku, i z którymi do stołu siąść nikt nie chce... Starożytni Celtowie, ażeby uskromić groźne wylewy rzek lub oceanu najścia, szli szeregami w bród, mieczów dobywszy, i heroicznie tonęli... Egipcyanin jednakże mniej patetycznie postępował sobie i postąpił był nareszcie z kałami Nilu, bo się zastanawiał, zgłębiał, ważył...

Pojęcia więc nasze o *czystości*, jakkolwiek być one mogą jedynie możliwemi na teraz, albo koniecznie niezmiennemi... cóż ztąd? jeżeli mnie one nie wystarczają! Czy nieudolności onych zarówno jasno i szczerze, jak filozoficznie i rzeczywiście nie określiłem? Dlatego to (rzekł powstawszy lord) — *ja protestuję!*"

Chcieliśmy coś odrzec, ale że dawaliśmy sobie wzajem pierwszeństwo głosu, nikt go nie podniósł; ja zaś, gdy na ustach miałem tę uwagę, iż wymaga się od protestującego, ażeby choć *zasadę* bardziej obowiązującą wskazał, lord nie czekał więcej i dalej mówił:

„— Niechże nie będzie teraz rzeczą na jowialny jedynie uśmiech zasługującą, skoro przystąpię i do technicznej formy mojej protestacyi. Imiona Sokratesa i Ksantypy są ze wszech miar poważne i historyczne. — — Gdyby się więc kto spytał: przez co, głównie, starożytna dama zawiniła, skoro na olimpijskie czoło mędrca wylała była z okna urnę pełną domowych nieczystości, ja odpowiedziałbym słowem jednem —" — tu na bardzo maleńką chwilę czasu przemilkł mówca, ale natychmiast, głosu i gestu własnego dogoniwszy, dalej prowadził: — „atoli, stosownie do

pojęcia o czystości, w praktyce powszechnej będącego, zawiniła Ksantypa przez to, iż z drugiego okna nie wylała była na toż czoło urny pełnej wonności, jaką się ofiarowało było bogom; — zaś, według mnie, winą jej jest, iż uczyniła to z bardzo *niskiego* stanowiska.— Nieczystość," rzekł lord półgłosem i jakoby pochylając się od ucha do ucha jednym i drugim, — „nieczystość jest to niskość!.. Jest to niskość!.." powtórzył głośniej. „Jakoż, gdyby taż sama starożytna dama z tąż samą i niemniej pełną urną znajdowała się ze mną na wysokości, do której zwykł mój dobiegać balon, mogłaby wypróżnić naczynie swoje bez obawy najmniejszej, bo tam *nieczystości* wcale nie ma!.. Tam ciągły *porządek* jest i pełni się, w ustawach sił i warunków atmosfery założonym będąc. — Trefniś jakiś, do mojej tajemnicy próżno kołacąc, rzucił był anegdotę, jakoby z wysokości balonu mojego upadł nieczysty papier... Musiałoby to być z okna Ksantypy, a nie z tych sfer, z których cokolwiek się odepchnie, musi się doharmonizować do porządku ogólnego wśród włókien, kryształów, kropli, ruchu, pary i pędu... Jednem słowem: za wysoko ja się podnoszę, ażeby dotyczyła mnie nieczystość..! Co ci się podoba, ztamtąd rzuć, a potem o szafirowej nocy letniej patrz na spadający aerolit... Jakże on jest pięknym!.. *Czystość* zależy na podniesieniu się stosownem, — *nieczystością* zaś jest poniżenie się... lub kogo... Czystość, która musiałaby degradować ludzi, ażeby siebie utrzymać, byłażby bezplamną? Ażeby przeto całego mojego o niej pojęcia dochować, wznoszę się; tudzież, ażeby protest mój

nie był tylko czczemi wyrazami, lecz ażeby nosił pieczęć dopełnienia czegośkolwiek w kierunku tej prawdy. Kto ma błogą wolę śmiać się z tego, niechaj to pełni teraz! teraz!.. bo poczuwam łzę w oku...“ Mówiąc zaś to, począł lord z nieprzyśpieszonym, ale nieco namiętnym ruchem przecierać różowe kąty oka lewego i, zlekka kładąc potem rękę na ramieniu doktora di San Luca, rzekł: — — „*Ludzie nie są jeszcze czyści... są dopiero perfumowani...*“

Nie przestankowe już, ale zamykające wyczerpniętą treść nastąpiło potem uciszenie, które wraz zapełniać rozpoczął zegar biciem godziny śniadannej. Staraliśmy się więc dopełnić ceremoniału pożegnalnego z rzetelnością tąż samą, z jaką dopełniliśmy delegacyi, lubo ta rozwiązała tylko zakład zagajony płocho. Do jakiego rodzaju obłąkania scyentyficznie się policza mania lorda Singelworth? Tego nie podnosił doktór di San Luca, zapewne przez takt i delikatność — dwie właściwości cenne, a wyznać trzeba, że nierzadkie pomiędzy uczonymi italskimi. Natomiast improwizator Toni di Bona Grazia z większym niż kiedy zapałem głosił, że ulatujący podróżnik jest mężem misyi, jest uprzedzicielem i zwiastunem wielkiej epoki nowej, która ma stać się dla ludzkości całej rodzajem puryfikacyi i czemś do *Revivalu* amerykańskiego podobnem... revivalu, o którym (mówiąc i szczerze, i na stronie) ani nasz stary, *ukształcony i niewolniczy* kontynent nie ma słusznego pojęcia, ani byłby na siłach, ażeby go u siebie spróbować i zaszczepić!.. Archeologia tu raczej lubo

wstecz, ale żywo i świetnie działa. Jakoż nadeszła niebawem uroczystość św. Marka z nieporównaną swą regatą. Wenecyanie *wszyscy* się znaleźli nagle u *Wielkiego kanału*, a tak *wszyscy*, że na placu św. Marka i w okolicach jego gołębie tylko same i niepłoszone przechadzały się po szerokim bruku. U mostu wysokiego — *u Rialto*, flagi wszystkich barw, chorągwie wszystkich wieków i ludów grały wstęgami na wietrze; — małe maskaradowe okręta, wyzłacane nawy z różnych epok, galery pstre herbami, czarne gondole i rozmaite statki spotykały się tak nieraz żebrami boków swoich, iż suchą nogą mogłeś przejść przez całą kanału szerokość, tam i napowrót. Wszystkich oczy w-igrane lub wlepione były w ten wir archeologicznego szału, który nie bez pobudek uwzględniała roztropna austryacka policya. Raz tylko kilka znacznych grup obróciło spojrzenie swoje ku górze, gdzie wziesionemi wiosły gondolierowie pokazywali maleńki i mdły punkcik, znikający w przestworzu... Był to balon lorda Singelworth.

Cypryan Norwid.

Z „Rajskiego Poematu.“



ROMANZA PANI TAJEMNICZEJ.

Kto w mej pamięci obudzi z uśpienia
dziwne wspomnienie, co mię niepokoi?
Sen jakiś, gędźba. (A może spojrzenia
czyje?) Oh, znaleźć ten pierwszy dźwięk w swojej
duszy, a Ona powstanie znów z cienia —
i sen prześniony, co wciąż mi się troi,
wróci — i nigdy nie zginą mi już.

Lecz za czem, za czem oglądam się z żalem?
jakaż to gędźba? jaki sen promienny?
jaka twarz za mgły kryje się woalem?
O, przypominam nagle... Dzień jesienny...
I słońce było ogromnym opalem
i niebo białe, bielsze niżli w senny
uśmiech księżyca — — przypominam już.

Pamiętam jeszcze. Jakieś dziwne tony
latały niby melodyjne pyły,
a ciche — zda się, z oddalonej strony.

W różach płaczących lekko szeleściły
słodkie powiewy nocy utajonej.
I słodkie tony melodyi tej były,
lecz jakie były, nie pamiętam już.

Przede mną widok ciągnął się szeroki,
spokojny. Pomnę, po wielkiej równinie,
wolno, do modrej świetlistej zatoki
rzeka z oddechy głębokiemi płynie.
Widzę ją jeszcze jakby przez obłoki:
to w słońcu błyska stalą, to znów ginie
w oparach białych i nie świeci już.

Widzę tę rzekę i leci myśl za nią,
i przypomina... Gdym spojrzał w tę stronę,
kędy jęczały wody nad otchłanią,
widziałem jakby przez rzadką zasłonę
tę nieznajomą tajemniczą Panią,
i dostrzegałem gęśliki złocone,
świecące w mroku. I nic więcej już.

I szła melodya — przez cisze, co strzegą
dnia, od którego życie już odlata —
słodka, zasłodka dla serca ludzkiego.
Niepamięć życia wzięła mię skrzydlata
i gdzieś do świata niosła dalekiego...
Ach czemu tego dalekiego świata,
o duszo moja, nie pamiętasz już?

(HORTUS LARVARUM.)

POSĄG.

Park wielki, kędy rączego jelenia
ongi ścigały grające ogary,
dziś milczy. Pustka. Sam, w pomroce szarej,
potok się śmieje lub łka bez wytchnienia.

Śmieje się, wzdycha do niemego cienia,
zkąd ongi pieśni słowiczej pił czary.
Lecz dziś tam stoi, obojętny, szary,
posąg, co swojej postawy nie zmienia.

Jest tu... (bo dusza zawsze się przegląda
w rzeczach...) ktoś jeszcze jest osamotniony,
i płacze, wzdycha do niemego cienia.

Ale jest nad tym, co zapomnieć żąda
i o wytchnienie błaga zrozpaczony,
ktoś inny, co swej postawy nie zmienia.

(HORTUS LARVARUM.)

SEN.

Bez szmeru idę przez niemą aleję,
którędy sen mię powoli popycha.
A jest godzina świetlista i cicha
Niebo welonem perłowym jaśnieje.

Ciemne cyprysy ku niebu się wzbiły,
stoją bez płaczu, żaden nie szeleści,
ale są pełne smutku i boleści,
smutniejsze niźli cyprysy mogiły.

A dookoła rozciąga się blada,
nieznana, pusta, dziwna okolica,
kędy przedwieczna chadza tajemnica —
i, za nią lecąc, myśl moja przepada.

Bez szmeru idę. Podobny-m do cienia;
już i mój smutek zda się tylko cieniem;
całe me życie jest już tylko cieniem,
niepewnym, szarym, nikłym, bez imienia.

(HORTULUS ANIMAE.)

POECI.

Sen dalekiej przeszłości, nieznanego plemienia,
gędźb dawnych, — opromienia
blaskiem czoła poetów. Oczom poetów — ciemności
sen zakrywają przyszłości.
Jak wisząca w przestworzach grzywa komety płomienista,
olbrzymia łuna płomienista,
tak w życiu naszem rozbłyska
Duch i światłami wytryska,
rośnie i wstecz się ciska.

Gościła nas (kochanko moja, czyż nie pamiętna
chwila? biły twe tętna
Rytmem) gościła nas w królestwie swem wielkiem Sława.
Od powicia w nas wstawa
pamięć kwiatów świecących przez alabastrowe amfory
niby schwytane meteory,
pamięć tajemnic widzianych,
pamięć rozkoszy doznanych,
pamięć woni wdychanych.

W jakiż wieczór szkarłatny powieki my zamknęli?
Na śmiertelnej pościeli
jakiego czcili my boga? W jaką chwilę wspaniałą
życie z nas ulatywało?
Czy po walce herojów, na polu bitwy? czy też może
na złotogłowiu i bisiorze?
A wzięła w straż nasze zwłoki
Chimera dumna, gdy mroki
szły na krwawe obłoki.

I w chwilę przebudzenia — a sen trwał lat tysiące —
ujrzeliśmy jaśniejące
inne nieba, słyszeliśmy inne głosy i pienia,
i chwytaliśmy westchnienia
i płacz, ten cały ludzki płacz, co się do łona tej ziemi
tuli skrzydłami obwisłemi,
słyszeliśmy wszystkie szlochania
daremne, jęki, konania,
przekleństwa i szemrania.

Milcząc, słyszeliśmy ciągle krzyk i gwar skłócony.
Ale w duszy skupionej
przedwiekowy, daleki sen, jeszcze mgłami owity,
zabłysnął nowemi świty.
I żyliśmy, a może kłamaliśmy życie, wpatrzeni
w zgon swój daleki, pośród pieni
o tajemnicach widzianych,
o rozkoszach doznanych
i o woniach wdychanych.

Teraz cisza znów idzie, wielka cisza. Ciemności
zasnuły sen przyszłości.
Nowy zgon czeka na nas. Lecz kiedy, w jakie zaranie,
o Losie, duch zmartwychwstanie?

Kiedy światu na strunach złocistych zagrają poeci,
kiedy nad ziemią hymn przeleci:
Wy, których życie uciska,
Ludzie, na szczytach, już zbliska
święta Zorza połyska.

(EPILOGO.)



MŁODOŚCI...

Młodości, biada, już twoja korona
na czole mojem powoli okwita.
Życie — kłos wczoraj, a dzisiaj snop żyta —
cięży mej głowie, aż zwisa znużona.

Lecz jak dojrzałe winorośli grona
wyszlachetniała dusza. W sercach czyta,
przebaczać umie. Cierpieniem przeszyta
bólom się podda, a trudy pokona.

Nikną ostatnie twoje zorze skore,
młodości moja! umilkły burzliwe
wiry, brzeg ucichł, ustało fal granie.

Dźwięk inny słychać, inny płomień gore:
widzę płonące w bratnich oczach żywe
łzy, i serc bratnich słyszę kołatanie.

(EPILOGO.)

PRZEŁ. Anna Bronisławska. Gabryel d'Annunzio.


QVIA
AMAVIT

Rysunek EDWARDA BURNE JONES'A.



Poeta.

Tak opowiadał mi poeta w swej obrazowej mowie. Wszelako przyroda, stwarzając nowe osobniki, zmierza do szczytniejszego celu niż zachowanie gatunku, a mianowicie do u s z l a c h e t n i e n i a go, czyli do przejścia duszy w wyższą formę rozwojową. W moich młodych latach znałem rzeźbiarza, którego dziełem jest posąg młodzieńca, stojący w naszym parku. Pamiętam jeszcze, że nie umiał on wyrazić w słowach, co go czyniło szczęśliwym lub nieszczęśliwym, i udawało mu się to dopiero z pomocą szczególniejszych określeń. Pewnego dnia wstał swoim zwyczajem przede dniem i widział świt, wielki jak wieczność, która go poczęła; odtąd całemi dniami mozolił się, aby wyrazić ten wielki spokój, i — o, dziwo! — jego dłuto wykuło z marmuru postać cudownie pięknego młodzieńca, Phosphorusa, o którym opowiadają, że ludzie nań patrzący pogrążają się w milczącej zadumie. Podobnie pogrąża

się poeta całkowicie w swym nastroju, a myśl, która w nim nurtowała, wypowiada się, lecz jako *alter idem*, jako zupełnie coś nowego. To wypowiedzenie się jest organiczne, jest poprostu nowym typem, w którym ujawniają się rzeczy, gdy są wyzwolone. Podobnie jak przedmioty, wystawione na światło słoneczne, wywołują swój obraz na siatkówce oka, tak samo one, zespolone z wszechświatem wspólnością aspiracyj, objawiają dążność do wytwarzania o wiele subtelniejszej kopii istoty swej w duchu poety. Ich przemiana na melodye nie różni się niczem od metamorfozy, której ulegają rzeczy, przekształcające się w wyższe formy organiczne. Nad każdą rzeczą unosi się duch jej, czy demon, i jak kształty przedmiotu zarysowują się w oku, tak duch jego odźwierciedla się w melodyi. Morze, łańcuch górski, Niagara i każda grzęda kwietna, mają poprzednie lub wyższe istnienie w melodyach pierwotnych, które falują w powietrzu jak wonie, a człowiek o subtelniejszym słuchu, któremu się zdarzy do nich przybliżyć, słyszy je i próbuje spisywać te dźwięki bez zmian i usterek. I w tem też znajduje swe uprawnienie krytyka: w przeświadczeniu, że utwory poezyi są tylko popsutą transkrypcyą jakiegoś tematu w przyrodzie, z którym powinny się zgadzać. Rym sonetu powinien być nie mniej wdzięczny jak regularnie po sobie następujące skręty muszli, lub zgodność w zmiennej rozmaitości pęku kwiatów. Parzenie się ptaków jest sielanką, ale nie tak nudną, jak nasze sielanki; burza — dziką odą bez fałszywego patosu i napuszoności; lato wraz z siewami i żniwami — poematem epicznym o wielu pieśniach, przedziwnie wykończonych. Dlaczegóżby symetrya i prawda, które modelują tamte rzeczy, nie miały się przelewać w naszą duszę, dlaczego nie mielibyśmy uczestniczyć w wynalazczości przyrody?

Ta intuicya, ujawniająca się przez tak zwaną wyo-

braźnię, jest bardzo wysokim rodzajem patrzenia, którego nie można się nauczyć; do niej zdolny jest tylko duch wszechobecny i wszechwiedzący, który uczestniczy w rozwoju i obiegu rzeczy poprzez różne formy i w ten sposób rozjaśnia je innym. Atoli obieg rzeczy odbywa się w tajemniczem milczeniu. Czyż ścierpią one obok siebie kogoś, ktoby mógł je podsłuchać i wypowiedzieć? — Szpiega nie ścierpią, ale zniosą kochanka, poetę, który jest uzupełnieniem ich własnej natury. Prawdziwość wyrazu osięga poeta pod warunkiem, że zawierzy boskiemu tchnieniu, przenikającemu wszystkie kształty, i będzie mu posłuszny.

Jest to tajemnica, którą każdy człowiek, wyposażony inteligencyą, odgaduje prędzej czy później: że, poza energią posiadanej przezeń umysłowości świadomej, ma on jeszcze inną władzę (podobną do siły zdwojonego intelektu), o ile się całkowicie podda naturze rzeczy; że, poza siłą ukrytą w nim jako w osobniku, jest jeszcze wielka siła powszechna, którą pozyskać może napewno, jeżeli, bez względu na niebezpieczeństwa, otworzy bramy swej istoty i pozwoli prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość. Wówczas porwany zostanie w życie wszechświata, mowa jego stanie się gromem, myśl jego—prawem, a słowa jego będą wszędzie równie zrozumiałe jak rośliny i zwierzęta. Poeta wie, że mówi stosownie tylko wtedy, gdy się wyraża nieco dziko, albo też samem „kwieciem ducha;“ gdy działa w nim nie umysł w charakterze służebnego narzędzia, lecz umysł wyzwolony z pod wszelkiej władzy i mogący odpowiednią do swego niebiańskiego pochodzenia obrać drogę, albo, jak mawiali zazwyczaj starożytni, gdy wiedzie go nie umysł sam, lecz umysł upojony nektarem. Jak podróżnik, który się zbłąkał, puszcza wodze na szyję konia i powierza odnalezienie drogi jego instynktowi, tak musimy i my postępować z tworem bożym, który przez to życie doczesne nas prowadzi.

Albowiem, gdy nam się uda ten instynkt w jakikolwiek sposób pobudzić, otwierają się przed nami nowe drogi w głąb' przyrody, duch przenika nawskroś najtrudniejsze i najwyższe rzeczy i metamorfoza staje się możliwą.

Oto powód, dlaczego poeci lubią wino, miód, narkotyki wszelkiego rodzaju, kawę, herbatę, opium, dym drzewa sandałowego i tytoniu, oraz wszystko, co wywołuje fizyczne podniecenie. Wszyscy ludzie używają nastręczających się im środków, aby do swych sił zwyczajnych dołączyć ową siłę nadzwyczajną, i dlatego cenią rozmowę, muzykę, obrazy, rzeźby, tańce, teatr, wojnę, zbiegowiska uliczne, pożary, grę, politykę, miłość, wiedzę i odurzenie fizyczne; wszystko to jest jeno mniej lub więcej wyrafinowanym, quasi-mechanicznym surogatem prawdziwego nektaru, jakim jest zachwycenie ducha, wywołane wniknięciem w istotę rzeczy. A owe środki potęgują jeno odśrodkową dążność duszy ludzkiej, która wiecznie szuka oddali i swobody, pomagają jej do wydobycia się z pęt cielesnych, które ją krępują, do wyzwolenia się z więziennej cieśni stosunków osobistych, która ją otacza. I ztąd to pochodzi, że zawodowi przedstawiciele piękna, jak malarze, poeci, muzycy i aktorowie, — z wyjątkiem nielicznych, obdarzonych prawdziwym nektarem, — zazwyczaj głębiej niż inni grzęzną w użyciu i rozwiozłości, a ponieważ ten sposób zdobywania wolności jest błędny, ponieważ owo wyzwolenie nie wiedzie do nieba i jest jeno swobodą podrzędniejszego gatunku, przeto uzyskane w ten sposób korzyści przepłacają znieprawieniem i zepsuciem. Albowiem od przyrody nigdy jej darów nie można wyłudzić podstępem. Duch świata, wielka spokojna obecność Stwórcy nie daje się wyczarować magicznemi sztuczkami opium lub wina. Szczytne wizye jawią się jeno czystym i prostym duszom w czystych i szlachetnych ciałach. To, czem nas darzą narkotyki, nie jest natchnieniem, lecz sztucznym

porywem i szałem. Milton powiada, że poeta liryczny może pić wino i prowadzić życie rozwiozłe, ale poeta epicki, który ma opiewać bogów i ich wędrówki wpośród mrowia ludzkiego, winien pić wodę z drewnianego naczynia. Bo poezya nie jest „winem dyabelskiem,“ lecz winem boskiem. Dzieje się tu podobnie jak z zabawkami. Przepełniamy dłonie i pokoje naszych dzieci najrozmaitszemi lalkami, bębnami i końmi i odwracamy przez to ich spojrzenia od jasnego oblicza przyrody i o wiele właściwszych przedmiotów: słońca, księżyca, zwierząt, wody i kamieni, które powinny być ich zabawkami. Tak samo tryb życia poety powinien być tak skromny, aby go zachwycały najzwyklejsze wrażenia. Jego pogoda winna być darem światłości słonecznej, niechaj czerpie natchnienie z powietrza, niech upaja go woda.

Duch, który wystarcza cichym sercom, który przemawia do nich z każdej kępy zeschłej trawy, z każdego pnia sosny, z każdego nawpół zagrzebanego kamienia, widniejącego w bladem słońcu marcowem, — ten duch objawia się bezdomnym i głodnym i prostoty pełnym. Lecz gdy przesycisz swój mózg wrzawą, modami i pożądliwościami Bostonu, czy New-Yorku, gdy podniecisz swe znużone zmysły winem i czarną kawą, wtedy, zaiste, nie dojrzysz promieniowania mądrości w pustynnej samotni jodłowych borów.

Wyobraźnia, upajająca poetę, nie jest też nieczynną u innych ludzi. Metamorfoza napawa widzów radosnem wzruszeniem. Użycie symbolów wywiera na wszystkich ludzi pewien wpływ wyzwalający i rozweselający. Zda się, jak gdyby nas dotknęła różdżka czarodziejska, która zniewala nas jak dzieci do tańców i pląsów. Jesteśmy jak ludzie, którzy z jakiejś jaskini, czy piwnicy, wyszli na wolne powietrze. Taki wpływ mają na nas przenośnie, baśnie, przypowieści, oraz wszelakie formy poetyckie. Poeci

są przeto bogami-wyzwolicielami. Ludzie pozyskali istotnie nowy zmysł i odkryli na swym świecie świat inny, a nawet całe gniazdo światów; albowiem wraz z objawieniem metamorfozy budzi się w nas przeczucie, że ona się nie zatrzyma. Nie chcę się teraz wdawać w wyjaśnienia, jak bardzo potęguje to urok algebry, oraz wszystkich nauk matematycznych, które również posiadają swe przenośnie; lecz wyczuwamy ten czar z każdej definicyi: np. gdy Arystoteles określa przestrzeń jako nieruchome naczynie, w którem się mieszczą wszystkie rzeczy, gdy dla Platona linia jest punktem w ruchu, a kształt ograniczeniem ciała stałego, i tak dalej. Jakież przedziwne uczucie swobody owłada nami, gdy czytamy w Witruwiuszu, iż, według odwiecznego poglądu artystów, architekt, który się nie zna choć trochę na anatomii, nie potrafi dobrze zbudować domu; gdy Sokrates powiada nam w swym *Charmidesie*, że duszę można wyleczyć z jej chorób za pomocą pewnych formuł czarodziejskich i że owe formuły są świetnemi rozumowaniami, które przywodzą duszę do opamiętania; gdy Plato nazywa świat żywą istotą, a Timaeus zapewnia, że rośliny są także żywymi tworami, lub twierdzi, że człowiek jest drzewem niebiańskiem, które rośnie wzwyż swemi korzeniami, to jest głową, zwróconą ku górze, — co George Chapman wypowiada za nim w następujących słowach:

„So in our tree of man, whose nervie root
Springs in his top;“ —

gdy Orfeusz mówi o siwiźnie, jako o owym „białym kwiecie, który sędziwe lata oznacza;“ gdy Proklus nazywa wszechświat posągiem intelektu; gdy Chaucer w swej pieśni pochwalnej na cześć „Gentilessy“ porównywa człeka szlachetnej krwi, zajmującego podrzędne stanowisko, do ognia, który — chociażby go przeniesiono do najciemniej-

szego domu, jaki istnieje między naszą ziemią, a górami Kaukazu, — przecież pójdzie za swym wrodzonym popędem i będzie świecił tak jasno, jak gdyby nań patrzyło dwadzieścia tysięcy ludzi; gdy św. Jan widzi w swej Apokalipsie zagładę świata przez grzech, oraz gwiazdy spadające z nieba, podobnie jak drzewo figowe otrząsa ze siebie nieźrzałe owoce; gdy Ezop ukazuje nam mnóstwo epizodów z codziennego życia jako zamaskowany korowód ptaków i zwierząt; — wtedy świta w nas radosne przeświadczenie o nieśmiertelności naszej istoty w jej tysiącznych przemianach i falowaniach i czujemy, że do nas stosuje się to, co cyganie o sobie powiadają: „Nie warto ich wieszać, bo oni i tak umrzeć nie mogą.“

Tak więc poeci są istotnie bogami-wyzwolicielami. Tytuł dawnych bardów brytańskich brzmiał: „wolni na całym świecie.“ Są wolni i darzą wolnością. Dzieło bujnej wyobraźni oddaje nam o wiele większe usługi w pierwszej chwili, kiedy zachwyca nas swemi przenośniami, niż później, gdy już dokładnie wnikniemy w tok myśli jego twórcy. Istotną wartość książki stanowi dla mnie jeno jej transcendentalność i nadzwyczajność. Gdy człowieka tak dalece rozpłomienią i uniosą jego myśli, że zapomina o autorach i publiczności, że marzy jeno swe sny, które go opętały jak obłęd, wtedy dajcie mi jego pisma do czytania, a wzamian zatrzymajcie sobie wszystkie rozumowania, całą historyę i krytykę. Cała wartość Pitagorasa, Paracelsusa, Corneliusa Agryppy, Cardanusa, Keplera, Swedenborga, Schellinga, Okena, oraz wszystkich innych, którzy do swej kosmogonii wprowadzili tak wątpliwe zjawiska, jak aniołów, dyabłów, astrologię, chiromancyę, mesmeryzm i tym podobne rzeczy, przejawia się w tem, iż są oni nowem, oczywistem świadectwem zerwania z rutyną. Jest to zarazem najświetniejszym przymiotem w rozmowie, ową magią swobody, która, niby piłkę, oddaje

w nasze ręce cały świat. A przecież, jakże marną wydaje się nam swoboda i jak płonnemi wszelkie porywy, gdy duch pod wpływem szczytnego wzlotu uczuje taką moc, że może ruszyć i dźwignąć z posad przyrodę! Co za niezmierzone widnokręgi! Ludy, epoki, systemy pojawiają się i nikną, jak nici w różnokolorowym, wzorzystym kobiercu; zapadamy z jednego snu w drugi, i dopóki upojenie trwa, gotowi jesteśmy gwoli temu bogactwu wyzbyć się własnego łóżka, własnej filozofii i religii.

A mamy powodów aż nadto, aby to wyzwolenie cenić. Los biednego pastucha, który, zbłąkany i oślepiony zawieją śnieżną, ginie wśród zasp o kilka kroków od swej chaty, jest obrazem położenia, w jakiem się człowiek znajduje. Konamy marnie na brzegach zdrojów żywota i prawdy. Jest to poprostu zdumiewające, jak niedostępna jest każda myśl, prócz tej, która nas właśnie zajmuje. Daremnie się do niej zbliżać; w jej bezpośredniem pobliżu jesteśmy od niej równie daleko, jak w największej oddali. Każda myśl jest także więzieniem, i więzieniem jest każde niebo. I dlatego miłujemy poetę, owego wynalazcę, który w tej, lub owej formie pieśni, czynu, spojrzenia, czy zachowania darzy nas nową myślą. Rozluźnia nasze pęta i ukazuje nam nową widownię.

To wyzwolenie jest nieocenione dla wszystkich ludzi, a moc udzielania go innym, jako poczęta z większej głębi i potęgi myślowej, jest miarą geniuszu. Dlatego wiekuiście żyją książki, będące tworami wyobraźni, które dosięgają takiej wyżyny prawdy, iż ich twórca wzbija się ponad przyrodę i posługuje się nią poniekąd jako wykładnikiem własnego ducha. Każdy wiersz i każde zdanie, przeniknięte tą mocą, samo dba o swoją nieśmiertelność. Religie świata to tchnienie modlitw nielicznych ludzi o bogatej wyobraźni.

Lecz wyobraźnia jest z natury swej płynną, nie zaś

stężałą. Poeta nie poprzestał na barwach i kształtach, lecz odgadł także ich znaczenie, które go również nie zadowolniło, póki nie zastosował tych rzeczy do wyrażenia swej nowej myśli. W tem przejawia się różnica, zachodząca między poetą a mistykiem; mistyk przygważdża symbol do jakiegoś pojęcia, które w swoim czasie ma racyę bytu, lecz już dla najbliższej przyszłości okazuje się przestarzałem i błędnem. Albowiem wszystkie symbole są zmienne; każdy język wciąż się przekształca i przetwarza i nadaje się raczej, podobnie jak promy i konie, do transportu, niż, jak fermy i domy, do stałego pobytu. Mistycyzm polega na pomieszaniu symbolów przypadkowych i indywidualnych z symbolem powszechnym. Jakób Böhme upodobał sobie jutrzenkę, więc uznał ją za równoznaczną z prawdą i wiarą, i chciałby, aby każdy z jego czytelników przypisywał jej również takie znaczenie. Lecz naturalnym porządkiem rzeczy zaraz pierwszy z rzędu będzie wolał jako symbol matkę z dzieckiem, a inny ogrodnika z cebulami, lub jubilera szlifującego drogocenny kamień. Każdy z tych symbolów i całe miriady innych są równie dobre dla człowieka, przywiązującego do nich dotyczące znaczenie. Jeno powinny być jasne, proste i łatwe do przełożenia na synonimy, będące w powszechnem użyciu. A mistykowi trzeba rzec dobitnie: wszystko, co powiadasz, jest równie prawdziwe z twemi nużącemi symbolami, jak i bez nich. Daj nam raczej trochę algebry zamiast tej jałowej retoryki — ogólnie zrozumiałe symbole zamiast utartych w jednej wioszczynie — a łacniej się porozumiemy. Historya hierarchii świadczy niezbicie, iż głównym błędem wszelkich prądów religijnych było stopniowe drętwienie i przerost symbolu, który wreszcie stawał się szczątkowym zabytkiem mowy.

Wśród ludzi nowszych czasów nikt tak znakomicie nie przekładał przyrody na myśli, jak Swedenborg. Nie

znam człowieka w historyi, dla któregoby rzeczy były tak bardzo równoznaczne z pojęciami. Metamorfoza rozgrywa się przed nim nieustannie. Wszystko, na czem spoczną jego oczy, podlega duchowym popędom. Figi, które spożywa, stają się winogronami. Gdy jeden z jego aniołów daje świadectwo prawdzie, różdżka laurowa w jego ręku okrywa się kwieciem. Szmer, który zdaleka wydawał mu się skrzypieniem i łoskotem, okazuje się zblizka głosem sprzeczających się ludzi. W jednej z jego wizyj ludzie, widziani w oświetleniu jakiejś jasności nieziemskiej, wydają mu się smokami, pogrążonemi w głębokiej ciemności, które, gdy blask niebiański wpada do ich chaty, skarżą się, że im ciemno, i muszą zamykać okna, aby mogli widzieć.

Posiadał on ową zdolność poznawania, która wieszcza, czy jasnowidza czyni przedmiotem grozy i przerażenia, a która sprawia, że ten sam człowiek, lub ta sama gromada ludzi inaczej wygląda w oczach własnych, czy w oczach swych towarzyszy, a wręcz odmiennie przedstawia się duchom wyższym, które na nich patrzą. Opisuje jakichś duchownych, zajętych głęboko uczoną rozmową, którzy dzieciom, stojącym opodal, wydają się padłemi końmi i tym podobnemi złudnemi zjawami. I zaraz nasuwa się pytanie, czy ryby w rzece pod mostem, czy woły na pastwisku i psy na podwórzu są istotnie i nieodmiennie rybami, wołami i psami, czy też tylko tak mi się wydają; czy w swych własnych oczach nie uchodzą za prosto trzymających się ludzi; czy ja sam wyglądam dla innych jak człowiek? Bramini i Pitagoras stawiali to samo pytanie, a poeta, któremu się zdarzyło ujrzeć transformacyę tego rodzaju, przyświadczy napewno jej zgodność z wieloma innemi faktami, opartemi na doświadczeniu. Wszak wszyscy widzieliśmy niemniejsze przemiany na ziarnie pszenicznem i na gąsienicy. Oto poeta, który zniewala nas sobie mi-

łością i grozą, który przez zmienną szatę widzi wiekuiście niezmienną przyrodę i potrafi ją oddać w słowach.

Nadaremnie rozglądam się za poetą, którego tu opisuję. Nie przystępujemy do życia z dostateczną jasnością i głębią, nie odważamy się opiewać naszych czasów i naszych społecznych stosunków. Gdybyśmy wypełniali dni nasze chwałą dzielności i heroizmu, nie wahalibyśmy się ich sławić. Czas i przyroda obdarzyły nas niejedną cenną rzeczą, ale nie dały nam człowieka naszej epoki, który wszystko przejedna i na którego wszystko czeka. Żródłem sławy Dantego jest odwaga, z jaką wypisał dzieje własnego żywota olbrzymiemi głoskami na tle wszechświata. My nie mieliśmy dotychczas w Ameryce geniusza, któryby światowładczem okiem poznał się na wartości naszego niezrównanego materyału, któryby w barbarzyństwie i materyalizmie naszej epoki dostrzegł jeno odmienny karnawał bogów, tak bardzo podziwianych u Homera, karnawał przejawiający się następnie w wiekach średnich i kalwinizmie. Banki, taryfy, zgromadzenie wyborcze, metodyzm i unitaryanizm wydają się jeno powierzchownym umysłom jałową powszedniością, albowiem powstały na tem samem przedziwnem podłożu, na którem niegdyś wznosiło się miasto Troja, lub świątynia w Delfach, — i równie szybko przemijają jak tamte. Nikt jeszcze nie opiewał naszych szalbierstw politycznych, naszej taktyki wyborczej, naszego rybołówstwa, naszych murzynów i indyan, naszych statków, rozpasania szubrawców i tchórzowstwa poczciwców, handlu Północy, plantancyj Południa i karczunków Zachodu, nikt jeszcze nie sławił Oregonu, ni Teksasu. A przecież Ameryka jest w naszych oczach poematem; kolosalność jej stosunków geograficznych poprostu olśniewa i zapewne w niedługim czasie znajdzie swego piewcę. Lecz tego wspaniałego skojarzenia darów nie tylko pośród moich ziomków szukałem napróżno; prze-

glądając Chalmersa „Antologię poetów angielskich z ostatnich pięciu stuleci,“ również nie znalazłem urzeczywistnienia mojego ideału poety. Są to raczej utalentowani ludzie, niż poeci, aczkolwiek zdarzali się między nimi i poeci prawdziwi. Lecz nawet Homer i Milton zgotują nam pewne trudności, jeżeli nie odstąpimy od naszego ideału poety. Milton jest zbyt literacki, a Homer za dosłowny i za historyczny.

Lecz czuję, że nie sprostam zadaniu szczegółowej krytyki, przeto powrócę raz jeszcze do wyczerpującego określenia pojęć ogólnych, aby dokonać posłannictwa, które z rozkazu Muzy mam zwiastować poecie o jego sztuce.

Sztuka jest drogą twórcy do jego dzieła. Ta droga, czy metoda, jest idealna i wieczna, aczkolwiek jeno nieliczni ją znają, aczkolwiek nieraz przez długie lata, a nawet przez całe życie nie zna jej sam artysta, dopóki nie wypełni wszystkich potrzebnych warunków. Malarz, rzeźbiarz, kompozytor, rapsod epicki, mówca: oni wszyscy pragną wypowiedzieć się symetrycznie i całkowicie, a nie słabo i połowicznie. Przypadkowo lub umyślnie poddają się wpływowi pewnych warunków, jak malarze i rzeźbiarze na widok interesującej postaci ludzkiej, jak mówcy, gdy stają przed zgromadzeniem ludowem, lub inni artyści, gdy szukają okoliczności, mogących stać się bodźcem dla ich ducha; a każdy z nich doznaje wówczas nowego pragnienia. Słyszy jakieś głosy, powoduje się czyjemś skinieniem. I czuje ze zdumieniem, że go okrążają całe zastępy demonów. Coś mu nie daje spokoju, więc powiada, jak ów dawny malarz: Przebóg, to jest we mnie i musi wyjść ze mnie. Ściga piękność, napoły dojrzaną, a przed nim uchodzącą. Poeta, gdy jest sam, snowa sobie wiersze. Mnóstwo z tego, co wypowie, tchnie bezsprzecznie powszedniością, lecz niekiedy zdarzają mu się powiedzenia piękne i niezwykłe. To go zachwyca, więc chciałby jeno

takie rzeczy mówić. W mowie zwykłej powiadamy: „to twoje, a to moje,“ lecz poeta wie dobrze, że to nie on mówi, że jego słowa są dlań równie obce i piękne, jak dla innych; on sam chętnieby słuchał dalej takiej wymowy. Zakosztowawszy raz tego nieśmiertelnego ichoru, wciąż go pragnie, a ponieważ w takich rozbłyskach poznania tają się czarodziejskie moce twórcze, przeto jest rzeczą niesłychanie ważną, aby zawarły się w słowach. Jakżeż mało wypowiedziano z tego, co wiemy! Ileż to kropli zaczerpnęliśmy z oceanu naszej wiedzy! Jakże przypadkowo wychodzą te rzeczy na jaw i ileż to nieznanych tajemnic drzemie jeszcze w łonie natury! Ztąd ta nieodparta potrzeba mowy i śpiewu, ztąd drżenie i bicie serca u mówcy, gdy staje przed drzwiami sali, aby objawić myśl jako Λόγος, czyli SŁOWO.

Nie wątp, poeto, i wytrwaj! Powiadaj: „To jest we mnie i musi wyjść ze mnie!“ Wytrwaj, rozczarowany i oniemiały, zmieszany i jąkający się, wyszydzony i wyśmiany, wytrwaj i walcz, aż z twojej ekstazy pocznie się owa *potęga marzenia,* która każdą noc podda twojemu władaniu, która wdziera się w głąb' rzeczy niezmiernie tajnych i niezmiernie skrytych, która z człowieka czyni przewodnik wszech prądów elektrycznych. Wszystko, co chodzi i pełza, co staje się i istnieje, musi kolejno przed tobą przejść, tobie się ukazać, jako wykładnik twego ducha. Geniusz człowieka, który tę moc posiędzie, jest niewyczerpany. Wszystkie twory zstępują parami i rodami w głąb' jego duszy jak do arki Noego, aby potem z niej wyjść jako mieszkańcy nowego świata. Ową moc czerpie poeta z wszechistnienia, podobnie jak zapas powietrza, niezbędnego do naszego oddychania, czy do podtrzymania żaru na naszych ogniskach, nie ogranicza się do pewnej ilości gallonów, lecz w razie potrzeby może objąć całą atmosferę. I dlatego geniusz takich wielkich poetów, jak

Homer, Chaucer i Szekspir, nie zna żadnych kresów, prócz kresu ich żywota, dlatego podobni są oni zwierciadłu, niesionemu ulicą, w którem błyskawicznie odbijają się obrazy wszech rzeczy.

O, poeto! nowe szlachectwo rozdziela się teraz pośród łanów i borów, a nie, jako niegdyś, na zamczyskach, gdy opasywano mieczem. Warunki są uciążliwe, lecz słuszne. Musisz się wyrzec świata i znać jeno swą Muzę. Musisz odtąd zerwać z epoką, obyczajami, względami, polityką i opiniami ludzkiemi, a wszystko zawdzięczać Muzie. Albowiem trwanie miast obwieszczają światu głosy żałobnych dzwonów; ale przyroda liczy godziny wszechświata według kolejnego następstwa pokoleń roślinnych i zwierzęcych, według wesela, z którego się inne wesele poczyna. Z woli Bożej musisz zaprzestać życia wszechstronnego, życia dwoistego, i musisz pogodzić się z myślą, że inni będą za ciebie mówili. Inni będą dla ciebie światowcami, inni posłużą ci za wzór elegancyi i salonowej wytworności; a jeszcze inni będą za ciebie dokonywali wielkich, rozgłośnych czynów. Ty sam winieneś przebywać w najgłębszych zaciszach przyrody, ty nie możesz żyć równocześnie dla Giełdy i na Kapitolu. Świat jest pełen poświęceń i wyrzeczeń i właśnie one są twoim działem; przez długi czas musisz uchodzić za szaleńca i za dziwacznego odludka. To jest ową osłonką i pąkowiem, w którem kryje Pan swoje najmilsze kwiecie, i jeno najbliżsi poznają się na tobie i ukoją cię cichym czarem miłości. A jednak nawet imion przyjaciół nie będziesz mógł wymienić w swej pieśni, bo cię od tego powstrzyma dawna groza przed twym przenajświętszym ideałem. A nagroda twoja jest taka: że ideał stanie się dla ciebie rzeczywistością, a wrażenia świata działającego będą się zlewały na twą nietykalną istotę szczodrze, lecz łagodnie, jako dżdże letnie. Całe krainy staną się twym ogrójcem i własnością, po wszystkich mo-

rzach będą żeglowały twe okręty, wolne od ceł i zawiści; posiędziesz lasy i strumienie, będziesz tam królem i panem, gdzie inni są jeno dzierżawcami i najmitami. Ty rzeczywisty władco lądów, mórz i powietrza! Gdzie jeno śnieg pada, woda płynie i ptactwo śpiewa, gdzie jeno dzień i noc spotykają się na rubieży zmierzchu, gdzie jeno błękit niebios zaciąga się chmurami, lub skrzy się od gwiazd, gdzie jeno jawią się postacie o przejrzystych zarysach i otwierają się bramy, wiodące ku niebiosom, gdzie jeno istnieje niebezpieczeństwo i groza i miłość, — tam wszędzie roztacza się dla ciebie KRASA, żyzna jako dżdże, i choćbyś zeszedł cały świat, nigdy i nigdzie nie znajdziesz nic niepotrzebnego i nic pospolitego!



PRZEŁOŻYŁ
Stanisł. Wyrzykowski. Ralph Waldo Emerson.

Sadzawka.

„A Anioł Pański zstępował czasu pewnego w sadzawkę: i wzruszała się woda. (*Ew. św. Jana V. 4*)

Wierzby zgarbione pod zmierzchu ciężarem
Na złotem nieba czernią się sklepieniu —

Za obumarłej sadzawki moczarem...

O, Cieniu święty, zapomniany Cieniu!

Trzebaż się było zjawić w taką porę,
Gdy się rozpadły najdroższe mogiły,
A dusza, zimna taka i bez siły,
Po osypiskach włóczy skrzydła chore!

Trzebaż się było zjawić, Cieniu święty,
Nad zdruzgotaną dzieciństwa kołyską!
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko
Przez łan pamięci kwitnącej niezżęty...

Wicher był, gradem zraził siew twój plenny,
Dostałym kłosom zdeptał dumne głowy,
A już zapóźno czekać siejby nowej,
Więc łan mój będzie jałowy i senny.

Zdarzenia łaski nie czekam najświętszej,
W puste pól zwiędłych wpatrzony kolisko...
I cień napływa z nieba coraz gęstszy...
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko!

Trzebaż się było zjawić w wieczór smutku!
Zamarła woda nie daje odbicia.
Szept cichych kroków chodzi po ogródku,
Jak niegdyś, dawno przed laty: za życia —

W otwarte okno wonne pól oddechy
Bóg mojej piersi przysyła strudzonej.
Jak pachną młode, złotokłośne plony!
Jak dusza boskiej woła znów pociechy!

Łozy nad czarne obwisły bagnisko,
Martwotą trapiąc błyski mózgu chore:
Trzebaż się było zjawić w taką porę!
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko...

Nad smutnej wody stęgłe rozlewisko
Wiatr zwraca kroki chwiejne i nieskore:
Trzebaż się było zjawić w taką porę!
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko!..

To przejdzie, przejdzie... Niedługie czekanie!
A tylko nie wiem, co ja teraz poczną
Bez tego widma — co się ze mną stanie,
Gdy w bezkres stopy obróci niezwłoczne.

Pójdzie podnosić w polach bujne kłosy,
Za dnia wydane wichrom na igrzysko —
Wygładzać ręką grzbiet pól złotowłosy —
I, jak nad moją, smucić się, kołyską.

Obcy jej miękkim rękom, co na czoło
Nieraz mi w sennej pokładła modlitwie,
Kojąc ból wszelki i myśl niewesołą,
Zbudzonej duszy kwilenia rybitwie —

Jak dzieciak, płacząc, schodzę w smutne wody,
Dróg zapomnianych ramieniem tulone...
W szumiące gaje, pola i ogrody —
Wszystko mi jedno, w którą pójdę stronę!

Wszystko mi jedno, w jakie uroczysko:
Wszędy noc ciężką zamknie mi rozworę!
Trzebaż się było wybrać w taką porę!
A wczoraj jeszcze było mi tak blizko...

Michał C. Bielecki.

Maj.

☆ ☆ ☆

W tajniach ogrodu zdaleka
Kukułka wabi w fale
Zielone —
Chodź, śpiewa, życie ucieka —
W majowym szale
Śmierć jak kochanka cię czeka
Z wieńcem na głowie.
Chodź do mnie, w cichej dąbrowie,
W rozwianem, pachnącem świetle
Zielonych liści
Sen ci się ziści
Przedziwny —
Cze-ka! cze-ka! cze-ka!

(*POKUSA WIATRU WIOSENNEGO.*)

Daj się nieść
Jak pajęczyna wichrom południowym
I jak pył,
Co nie wie, jak się wzbije i gdzie padnie.
Przymknij oczy —
Niech z pod powiek patrzą w dal ruchomą —
Mądrość znajdziesz
Nie w początku drogi — lecz na końcu.

Dalej w świat —
Tutaj więcej nic nie czeka.
Nie trwóż się,
Że cię ograbią i omamią —
Jeśliś jest
Myśliwym życia — na co reszta?
Niech ci wezmą
Wszystko — wtedy wszystko będzie twojem.

Złodziej w trzosie
Prawdę, zbiegłszy, ci zostawi,

Zdrajca nożem
Pierś otworzy zbyt ścieśnioną —
Tobie nikt
Wyrządzić krzywdy nie jest w stanie
Każdy ból
Nowem niebem cię obdarzy.

Wszelka droga,
Którą pojdziesz nieulękle,
Wiedzie w jasność,
W źródło wiedzy i potęgi.
Dalej w światy —
Twarda zbroja twa, bezpieczna,
I lśni gwiazda
Przeznaczenia nad twą głową!

☆ ☆ ☆

Odbiję łódkę od brzegu —
Popłynę
Między toń i niebo sine
W głębinę
Widnokręgów — —
Chwycę się promieni w biegu
Słonecznych —
Szlakiem dróg w szafirze mlecznych
Popłynę —
Oderwę stopy od ziemi —
Polecę
Łukami nieba jasnemi,
Co świecą
Tęczami,
W ślad za gwiazdami złotemi,
Ze łzami
Zachwytu, szczęścia i żalu,
Polecę.

* * *

O zielono-płowa grzywo
Trawy
Nad wodą —
O kwieciste, białe sady
Pełne pszczół —
O zapachu słodki, dziki
Ziół.
Majowych —
O błękitno-złota, świeża
Pogodo!
Pełza myśl moja, wspominająca,
Między źdźbłami,
Pełza po źdźbłach trawy szafirowych
Myśl jak robak —
Jak majowy żuk, wylęgły świeżo,
Jak zmoczony rosą motyl
Biały.
O jak dziwnie przez źdźbła traw wygląda
Twoje wielkie, rozzłocone niebo
Panie — — —

Marya Komornicka.

Płomień ofiarny.



I któż ty jesteś, wielki samotniku?
Ty, co ojczyznę zgubiłeś wśród gwiazd,
A teraz błądzisz po otchłaniach bytu
— Cały w płonącym skamieniały krzyku —
Jak komeciana żagiew, precz od słońca
W dal wytrącona bez celu i końca?

I któż ty jesteś, święty pomazańcze,
Coś stworzył boga w sobie, choć sam proch?
Anioły jakieś jasne, zmartwychwstańcze
Stają w twych pieśniach — a gdy łkasz,
Krwią twoją idzie wielki wieków szloch.

Nie spocząć tobie, pątniku bezsenny.
— W mgłach gdzieś ucieka twoja Jeruzalem,
Chociaż w swej piersi jak skarb drogocenny
Nosisz jej obraz przeczuty i śnisz,
Że kiedyś własnym wykarmioną żalem
Ujrzysz w koronie roztopionych słońc.

I próżno szukasz zaklęcia i złotem
Sny swe malujesz na ogromnej chmurze;
Chmurą, jak skrzydeł bijących łopotem,
Rwiesz swego ducha wskroś niebios ku górze;

I próżno tworzysz świat z cudownej gliny:
Gdzieś nad otchłanią cyklopowy boj —
Oto żądz morze kołysze się, wzrasta,
Oto w popłochu pożarnej godziny
Sercami dzwonów dygocące miasta.

A tam — kraj czarów dźwignięty na tęczy
Po nad chaosem opalowych mgieł.
Chaos ten dyszy, jak muzyka dźwięczy,
Ton każdy kształtem pod niebo wypryska,
Melodya — dziecka sen — gwiazdami błyska.

Lecz twoje serce gdzie? i z czem zbratane?
Wiecznie samotne ma wciąż bić, jak ptak,
Co ma na piersiach otworzoną ranę
I w trzepocących skrzydlach moc tęsknoty,
Gdy swoje dawne przypomina wzloty.

Włodarzem jesteś na nieswojej roli,
Nie wzejdzie tobie utęskniony plon.
Nim duch zwycięży w sobie formę starą,
Zanim swą świętość w płomieniach wyzwoli,
Duchowi swemu żywą bądź ofiarą.

Edward Leszczyński.

Ocknienie.



Z wielkich, głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona:
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona.
We mgły się zasnuwają obrazy promienne,
Ogrody rozkwiecone, łąki w rosach senne,
Pełne jakichś przesłodkich stubarwnych miraży,
Jasne wizye anielskich uśmiechnionych twarzy...
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona:
Z wielkich głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona.

Jeszcze śni ona wielką niezmąconą ciszę,
Co wszechświat w ruch rytmiczny, jak morze kołysze,
Jeszcze śni nad gwiazdami rozperlone dale —
Nieskończoności Bogiem rozśpiewane fale;
Jeszcze tchnieniem zaświatów upojona dyszy,

Jeszcze gędźbę słów twórczych nad chaosem słyszy:
Zda się jeszcze rozumieć treść ich prostą, wielką,
Zda się jeszcze pojmować tajemnicę wszelką,
Co tutaj serca męką — tam uśmiechem Boga,
Jeszcze jej prostą zda się kręta bytu droga —
I wskroś niewolne życia tęskne nowe dreszcze
Dawnej swej królewskości dreszcz odczuwa jeszcze
I patrzy...

A dokoła wszystko tak odmienne!
Jakieś we mgłach obrazy majaczeją senne,
Dziwne — niby do tamtych prześnionych podobne,
A takie przecież inne, nikłe i żałobne,
Jakby wieczny po tamtych żal nosiły w sercu!
Te same niby kwiaty na łąki kobiercu —
Lecz czemuż takie blade, jak gdyby dumały
O tamtych braciach swoich jasnej pełnych chwały,
Co Bogu tylko kwitną, Jego tchem owiane?
A kędyż one twarze promienne, świetlane?
— Czyż to znowu z nich jedna jawi się w tej chwili?..
To się matki stroskana twarz nad dzieckiem chyli
I patrzy...

Z wielkich głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona:
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona...
A serce matki czuje, że w takiej godzinie
Dusza dziecka na ŻYCIE roztwiera swe oczy
I że z jej niezmąconych dotychczas przezroczy
Pytanie pierwsze — pierwsza na świat skarga płynie:
Że już zatraca jasne onych chwil wspomnienia,
Gdy jeszcze myślą bożą była w czasów łonie,
I już, już zapomina twórczych słów znaczenia,

By pytać wciąż, aż znajdzie odpowiedź — we zgonie...
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona:
— Z wielkich głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona.

Adam Łada.



Duch jeden dobry zawsze jest nade mną,
Gdy chcę w kształt wcielić jasne wizye moje,
I jakąś radę szepce mi tajemną,
Przed którą drżąca i niepewna stoję.

A kiedy wreszcie oblecze się w ciało
To, co mi było najdroższem pragnieniem, —
On się uśmiecha swoją ciszą białą
I w mroczną przestrzeń rozpływa się cieniem.

A ja zostaję i widzę to dzieło,
Takie niebieskie wspomnieniem i święte,
Co się w głębinach mej duszy poczęło
A teraz dźwięczy w wyrazach zaklęte, —

I słyszę tylko słowa szmerne w głuszy,
Jako fontanna, płacząca w marmurze,

I chcę napróżno znaleźć głos mej duszy
W ich monotonnym, rozpłakanym chórze...

Zniknął duch dobry ze swą radą jasną,
A tu dźwięk każdy jego ciszy przeczy:
Wyłkane z piersi sny jak iskry gasną
Przed wiecznym smutkiem — dokonanych rzeczy.

Bronisława Ostrowska.

Nokturn.

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej,
Ktoś gra bez przerwy i bez końca...
Rytm monotonny, nieustanny,
Jak ciecz się w serce wlewa żrąca.

Ktoś gra, ktoś gra — i pieśń się żali,
Że nie zna wiosny, nie zna słońca,
Że jej wśród mgieł jesiennych fali
Każą tak łkać i łkać bez końca...

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej
I moich nocy sny zamąca...
Rytm monotonny, nieustanny
W gorzką apatyę duszę wtrąca...

Ktoś gra, ktoś gra w posępnej dali,
Jakaś dłoń senna, czy mdlejąca —
I pieśń się żali, serce żali
Na chmurne noce — dni bez słońca...

Leon Rygier.

Zygfryd.

Język Zygfryda dotknął krwi potworu,
I dziw!
Bo oto pojął Zygfryd głosy niw
I szum tajemny dziewiczego boru.

I dusza jego wnet stała się bliska
Wszelkiej roślinie, wszelkiemu stworzeniu:
Czuła, co czują dęby uroczyska,
Gdy szumią hymny w zgodnem rozmodleniu.

Czuła, co czują ci śpiewacy leśni,
Kiedy, trzepocąc o różanym świcie
Rośnemi skrzydły, serdeczne swe pieśni
Śpiewają, wielbiąc Naturę-Wszechżycie.

Pojęła duszę-woń kwiatów wśród gaju,
I ryk gromowych chmur,
I jęki mórz, odgłosy gór,
I szum srebrzysty leśnego ruczaju...

A właśnie wielkie, promieniste Słońce
Słało w przestrzenie święte swoje groty,
I toń powietrzna, jak ocean złoty,
Oblała ziemię po wszystkie jej końce.

I drzewa stały ciche i milczące,
A z łąk się unosiły kwiatów aromaty;
W milczeniu świętem modliły się światy,
A złotą lawę lało wciąż bóg-Słońce.

Dusza Zygfryda dumna i wyniosła
Wielką się szczęścia napełniła siłą,
Bo oto z życiem, z Wiecznością się zrosła,
Z tem, co bratniego we wszechświecie było.

Konrad Robakowski.

Róże mistyczne.

Mistyczne róże spadają w mrok,
W bezgwiezdne, ciemne przestworze;
Ich blask posępny wodzi mój wzrok
W dali, po pustym ugorze.

I widzę ciebie, za tobą żwir
Pod światło srebrzy się mgliściej;
Widzę, jak lecisz porwana w wir
I w tuman ćmiących się liści.

Twych piersi uwiądł dziewiczy pąk,
Zastygło ciało twe śliczne;
Bezwładnie lecą z twych martwych rąk
Na ciemność róże mistyczne.

Na wiatr się włosy rozwiały twe,
Zawieje mroźne je pieszczą,

A ty mych oczu, jak gdyby w śnie,
Źrenicą szukasz złowieszczą.

Wirujesz, lecisz, gniesz się jak wąż
W uwiędłych liści wichurze,
A twoje oczy szukają wciąż,
A z rąk twych sypią się róże.

Stanisław Wyrzykowski.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“

Wsparł się na mem ramieniu i, prowadząc mnie, jął iść dość pewnym krokiem, bez nazbyt wielkiego wysiłku. Zapukał w drzwi „klatki obłąkanych.“ Jedna ze staruszek otworzyła natychmiast.

— Przychodzimy z doktorem, pani Celestyno, — rzekł jej Rojko, — jest to młody mój przyjaciel. Jak się miewa dzisiaj panna de Sorel?

Pani Celestyna podała mi rękę z uśmiechem i z jakąś pełną prostoty, cichą godnością. Ręka ta była twarda i spracowana; pani Celestyna pochodziła z ludu, ale w jej zachowaniu się uderzała wrodzona szlachetność, a z oczu wyzierał jakiś tłumiony rezygnacyą patos. Była z ludzi, którzy od pierwszego spotkania pozyskują naszą sympatyę.

— Panna de Sorel, — odpowiedziała Rojkowi, — jest bardzo chora. — A prowadząc nas do pokoju, szepnęła mi cichutko: — Panna de Sorel jest nieco dziwna. Zdziecinniała przez wiek.

— Mówił mi już o tem sąsiad pań, — odpowiedziałem, i to ją uspokoiło poniekąd. Bała się widocznie, aby panna de Sorel nie wydała mi się śmieszną. Zrozumiałem jej zamiar, i ta delikatność uczuć wzruszyła mię bardzo. Poprowadziła mię teraz do łóżka i rozsunęła owe wypłowiałe zasłony jedwabne z długiemi rozdarciami, niejednokrotnie zeszywanemi, ale ciągle tworzącemi się z powrotem, bo zetlała materya nie mogła już utrzymać ściegów. Chora leżała z zamkniętemi oczyma. Głowę miała zajmującą, acz w rysach nic nie mówiło, aby kiedyś była piękna. Były tylko bardzo wyraziste. Twarz przypominała maskę z pożółkłego wosku. Białe, gęste, rozrzucone włosy tworzyły, na czystej poduszce, jakby poduszkę drugą z surowego jedwabiu. Długie ręce, zupełnie prawie bez ciała, były również wyżółkłe, nieledwie przezroczyste i skończenie — jak się mówi — arystokratycznych kształtów. Trzymała je złożone na piersiach, robiąc wrażenie leżącej już w trumnie osoby. Oddech był słaby.

— Czy pani śpi, panno Honorato? — spytała cicho pani Celestyna. — Panno de Sorel, doktór! — zawołała po chwili głośniej, zaniepokojona brakiem odpowiedzi. — Boże mój, margrabianko! — wykrzyknęła wreszcie, zatrwożona już nie na żarty.

Panna de Sorel wybuchnęła śmiechem i otworzyła oczy. Byłem zdumiony ich jasnością, żywością, młodzieńczością nieledwie, podobnie jak figlarnym, beztroskość małej pensyonareczki przypominającym śmiechem.

— Przestraszyłam was? — spytała o wiele słabszym już od śmiechu, ale dotąd przyjemnym głosem. — Zabawiłam się w nieboszczkę!

Pani Celestyna pogroziła jej palcem, jak dziecku, które karcimy. — Lekarz przyszedł, — rzekła, — trzeba być poważną. Jesteś pani chora, czy pani nie rozumiesz? Chora.

— Ależ jestem, jestem, i to już od tak dawna, — odrzekła panna de Sorel, twarz powlokły jej chmury, i zrobiła się nagle tak starą, jak w bajce, nie do uwierzenia starą. — Poczekajcie, od iluż ja lat już choruję? — I zaczęła pocichu rachować na palcach. — Ktoby to zliczył!.. — dodała po chwili i tępo, bezmyślnie jakoś przyległa znowu na swej poduszce. Zapomniała widocznie na chwilę, o czem mówiła, ręce opadły jej na kołdrę ze zrudziałego jedwabiu, na której zczerniałem teraz już srebrem wyhaftowany był herb z koroną.

— Chorowała całe życie, — rzekła pani Celestyna,— i wielkie znosiła cierpienia. A jakby tego niedość było, i pod innemi względami wcale nie na różach miała usłane. Ale nikt nie słyszał z jej ust jednego słowa skargi. Umie chorować. To nie każdy potrafi.

Zacząłem teraz wypytywać o symptomata jej choroby. Nie było w danej chwili nic prócz zwykłych następstw wieku.

— Mogę tylko zalecić spokój, — rzekłem wreszcie, odpowiadając na niespokojne spojrzenia pani Celestyny. Ale chora wpadła nagle w jakąś niewytłómaczoną wesołość, śmiała się z czegoś, czego nie mogliśmy odgadnąć, tak, że zanosiła się i rzucała na łóżku. Pani Celestyna starała się przybrać surowy wyraz twarzy.

— Ani mi się pani rusz, proszę leżeć spokojnie! — zawołała ze złością, zbyt widocznie udaną, w którą wszakże chora uwierzyła natychmiast. Uspokoiła się w tejże chwili.

— Proszę spać! — rozkazała pani Celestyna.

Biedna margrabianka przymknęła posłusznie oczy.

— Nie mogę sobie czasem dać rady, — usprawiedliwiała się szeptem pani Celestyna, — muszę niekiedy wpaść

na nią w ten sposób, inaczej nicby nie pomogło. Niech Bóg mi to wybaczy!

Spojrzałem znowu na chorą. Na twarzy jej tkliwy teraz pojawił się znowu uśmiech. Długie, suche, przezroczyste jej palce chwyciły się rogu kołdry i jęły składać go tak, jak dzieci robią lalki z gałganków. Przycisnęła potem ten zwitek cicho do piersi, zaczęła go kołysać — i wydawała się uszczęśliwioną.

— Teraz uśnie prędko, — rzekła pani Celestyna z poczciwym uśmiechem, — ma już swe niemowlątko i zdaje jej się, że je usypia.

— Czy zazwyczaj tak robi? — spytałem ze zdziwieniem.

— Tak, i to jedyna jej uciecha. Nie wyszła za mąż, nie znała miłości, i sądzę, że wogóle nigdy o niej nie pomyślała nawet, pośród tych wiecznych chorób i gorzkiej nędzy. Dziwna, że pomimo to wszystko, że choć właściwie nie żyje już prawie, coś w rodzaju tkliwości macierzyńskiej, której w rzeczywistości nie zaznała przecież, przetrwało w niej wszystkie inne uczucia, i do pewnego stopnia ją samą nawet. Ale nie wydaje się to panu śmiesznem, że tuli i kołysze róg swojej kołdry, prawda, panie?

Pani Celestyna utkwiła we mnie swe ciche, zrezygnowane spojrzenie. Nie odpowiedziałem nic, ale oczy mi zwilgły, i pani Celestyna zrozumiała to nieme przyświadczenie. Wzruszył mię do głębi ten ślad zapadłych w nicość, mimowiednych pragnień macierzyństwa.

— Biedaczka! — rzekła pani Celestyna, zaciągając troskliwie i z ostrożnością jedwabne, rozpadające się zasłony łóżka. Obraz bladej, zwiędłej, nad grobem chylącej się istoty znikł za niemi powoli, podobnie jak przed nią zwolna zasunął się w przeszłość cały jej ród, tak sławny niegdyś i bogaty. Głęboką ciszę komnaty zmącił nagle w tem okamgnieniu dziki, rozdzierający krzyk.

— Moja młodość! Wróćcie mi moją młodość! — wołał z udręczeniem śmiertelnem chrapliwy jakiś głos. Brzmiało w nim coś tak rozpaczliwego, tak szalenie bolesnego, że dreszcz zimny przebiegł mnie aż do kości. Obejrzałem się przerażony. Spostrzegłem, że okrzyk ten wydała trzecia mieszkanka „klatki obłąkanych.“ Wstrętnie brzydka kobieta owa była w tej chwili niezwykle zajmująca. Oczy jej płonęły, więcej, jarzyły się, mimo łez gradem z nich padających, a wyraz twarzy jej był tak tragiczny, że wstrząsnął mną do głębi. Lustro, w które podobno stale całemi dniami się wpatrywała, padło na fotel, z którego sama gwałtownie się zerwała, załamując kurczowo ręce nad głową.

— Moja młodość! Oddajcie mi moją młodość! — krzyczała znowu. — Ukradziono, wyłudzono mi ją! Twarz moja to teraz jedna wielka zmarszczka, serce — jedna wielka rana! Nie żyłam, nie żyłam, i życie me przepadło — przeminęło! Wróćcie mi moją młodość! Moją młodość!

Płacz histeryczny zgłuszył resztę słów, i załamując ręce padła znowu na fotel. Przez mgnienie oka staliśmy jak skamieniali, tylko z za jedwabnej zasłony ozwał się cichy śmiech idyotki i wtórzył rozdzierającym szlochom obłąkanej. Mróz przebiegał mi ciało. Pani Celestyna opamiętała się pierwsza, podbiegła do płaczącej i poczęła tulić ją i uspokajać cichemi slowy.

— Ucisz się, miejże rozum, opamiętaj się, Antonio! — szeptała. — Jest ktoś, co liczy nasze łzy i zna poczet westchnień naszych. Młodość twoja będzie ci wrócona tam, tam, kędy niemasz trosk ani smutku, gdzie Pan utuli i pocieszy nas wszystkich, którzyśmy cierpieli i znosili, zdawszy się na wolę Jego!

— Moja młodość! Moja młodość! — powtarzała coraz ciszej, coraz ciszej Antonia. Z głuchnącem łkaniem

padła, jakby złamana w pół ciała, piersią na własne kolana, skrzyżowanemi ramionami przysłoniła twarz, a kościste palce zatopiła w siwych włosach na tyle głowy. Bez słów, drgała teraz całem ciałem: wewnętrzny, i zapewne łez pozbawiony, płacz wstrząsał i miotał wszystkiemi jej członkami. W tym niemym bólu było coś jeszcze straszliwszego, niż przedtem w jej krzyku. Serce mi się ściskało. Pani Celestyna klęczała teraz u jej stóp i podtrzymywała ją, szepcąc tylko od czasu do czasu ciche „Antonio, droga Antonio!“ Po chwili skinęła nam głową, jak gdyby prosząc, abyśmy odeszli.

Zwróciliśmy się na palcach ku drzwiom.

— Mam u siebie w pokoju krople uspokajające, — rzekł Rojko, — może je pani przynieść?

— Nie, — odpowiedziała pani Celestyna, — nie podziałałyby w tej chwili; przydadzą się dopiero później, gdy sama z siebie nieco się uspokoi. Niezadługo przyjdę po nie do pana, a jednocześnie zobaczę, czy nie mogłabym panu być w czem użyteczna. — Odwróciła się od nas, zajęta zupełnie Antonią.

— Cóż za kobieta, ta pani Celestyna, — rzekłem do Rojka, gdyśmy siedli w jego pokoju. — Prawdziwa siostra miłosierdzia!

— Jest to prawdziwy typ kobiety z ludu, — odpowiedział, — a na szczęście dla rodzaju ludzkiego, jest takich więcej, niżby się kto mógł spodziewać. Sama przecierpiała wiele, znosiła i ubóstwo i żal. Jest wdową po rybaku, który zginął gdzieś tam w Pikardyi, zkąd i ona pochodzi.

Wkrótce pani Celestyna zapukała do drzwi; przyszła po te przyobiecane krople.

— Trafiłeś pan u nas na dzień nieszczęśliwy — zwróciła się do mnie. — Ta biedna Antonia nie zawsze bywa tak hałaśliwa. Po długim czasie znowu jej się to zdarzyło.

Była taka nieszczęśliwa przez całe życie! Rodzice wydali ją, w bardzo młodym wieku, za człowieka niekochanego. Zwykła historya: on był bogaty, myśleli więc, że w ten sposób zabezpieczą trwałe szczęście na całe życie, jej — i sobie. Zdaje mi się, że o siebie dbali najbardziej. Ale poświęcenie jej okazało się nadaremnem. Mąż przehulał wkrótce swój majątek i rodzice jej pomarli w nędzy, niedoczekawszy się najmniejszej pomocy od twardego zięcia, który nawet Antonię zaczął później dręczyć i nienawidzieć, gdy ospa i inne choroby uczyniły ją wstrętnie brzydką poprostu. Spędziła całe życie w ciemnym sklepiku, przy brudnej uliczce, pozbawionej słońca i powietrza, gdzieś w pobliżu kościoła Notre-Dame. Mąż nie troszczył się o nic, musiała utrzymywać jego i siebie. Na nieszczęście, Bóg nie dał jej dziecka. Gdyby nie to, miałaby dla kogo żyć, miałaby pociechę i nadzieję i nie byłaby może żywiła w głębi serca nierozsądnej myśli, która z czasem stała się jakąś *idée fixe*, skałą podwodną, o którą biedny jej rozum rozbił się wreszcie, niby łódź rybacka.

— Jakaż to była *idée fixe?* — spytałem z zaciekawieniem.

— Rzecz szczególna, — odpowiedziala poważnie pani Celestyna, — rzecz szczególna, ale Antonia nie zauważyła nigdy swej późniejszej brzydoty. Gdy była młodziuchnem dziewczęciem, znała pewnego malarza, również wówczas bardzo młodego, który się do niej zalecał. Czy kochał ją istotnie kiedykolwiek, trudno to wiedzieć; jej się zdawało że tak, zwłaszcza gdy odmalował ją w tej biało-różowej muślinowej sukience, w której ujrzał ją po raz pierwszy, w tym słomkowym, florenckim kapelusiku z różowemi piórami, w atłasowych pantofelkach, na krzyż przez ażurowe pończoszki różowemi związanych wstążkami, z koszyczkiem do robótek na ręku. Obraz ten bardzo się podobno spodobał i tak dobrze został sprzedany, że malarz ów za

wzięte zań pieniądze wyjechał dokądś w podróż. Nie wracał długo i żadnej o sobie nie dawał wieści; nim powrócił, Antonia wyszła za mąż. Ów strój zachowała jako drogą relikwię i pamiątkę o chwilach największego swego szczęścia. Słyszała później nieraz o tym malarzu, zaczynał być głośnym i mówiono o nim wszędzie! Antonia pocieszała się, w największej nędzy, w ostatniem poniżeniu, próżnem marzeniem, że człowiek ten jeszcze o niej nie zapomniał, że z taką samą wspomina o niej tkliwowością i tęsknotą, jak ona o nim. Będzie jeszcze kiedyś szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa! Powtarzała to sobie nieustannie, a gdy mąż zmarł wreszcie, wydało jej się, że chwila tego szczęścia, tak gorąco upragnionego, tak zasłużonego przez te długie cierpienia, nadeszła nakoniec! Biedna Antonia! Napisała do malarza list, oznajmiając mu swe odwiedziny. Choć żadnej nie dostała odpowiedzi, wybrała się jednak w kilka dni potem do jego pracowni. Wydobyła ze starej walizki swe drogie relikwie, ubrała się w pożółkłą już teraz, niegdyś białą, muślinową sukienkę, włożyła ten — mimo całą troskliwość — pomięty i zakurzony kapelusik florencki na głowę, związała różowe wstążki pantofelków na krzyż przez ażurowe pończoszki i wzięła koszyczek z ową robótką, na której od owej chwili nie dorobiła już ani ściegu, na rękę. Tak zjawiła się w jego pracowni, w tym młodzieńczym a podstarzałym, przez czas — że tak powiem — obszarpanym stroju na zużytem, sponiewieranem przez wiek i nędzę ciele, cała w zmarszkach, wstrętnie brzydka, śmieszna dla każdego, tylko nie dla Boga, który w owem okamgnieniu patrzał z pewnością na to zrozpaczone a bezgranicznie ufne jej serce i widział, jakiem było. Bóg widział, że udręczona życiem chwytała się, nawpół oszalała, brzegu, którego chwycić się nie było podobna. Biedna Antonia! Ów malarz nie był Bogiem — i widział tylko jej śmieszność, jej

waryacyę! Straszliwy wybuch śmiechu, od którego nie mógł się powstrzymać, zbudził ją z mamiących marzeń o szczęściu! Oglądała się, jakby tracąc zmysły do koła siebie, ujrzała się w zwierciedle, spostrzegła po raz pierwszy, jaką była, — i naraz stanęło przed nią całe życie stracone, w otchłań zapadłe, cała młodość miniona niepowrotnie... I to popsuło jej coś w głowie, pozbawiło ją rozumu... Błąd jej był, że szukała szczęścia, że tak go pragnęła, że tak nieskończenie, tak szalenie, całą istotą ku niemu się prężała.

— A pani, czyliż nigdy go nie pragnęłaś? — zapytałem.

— Każdy o niem marzy, — odpowiedziała pani Celestyna, — i jestem Bogu wdzięczna, że dał mi zaznać, przez krótkie chwile, prawdziwego szczęścia. Później wszakże dało mi życie tę wielką naukę, że szczęścia niepodobna osiągnąć, póki się za niem uganiamy. Zdać się na wolę Bożą, przyjmować, miłować swe cierpienia, oto jedyny środek, który ukaja nasze żale, goi nasze rany i na dobrą wiedzie nas drogę.

— Widzę, — rzekłem niedelikatnie poniekąd, — że sama cierpiałaś pani wiele?

— Któż nie cierpiał? — odpowiedziała cicho, z piękną rezygnacyą w tych patetycznych swych oczach.

— Jesteś pani wdową, sąsiad pań powiedział mi to przed chwilą; czy utraciłaś pani męża jeszcze zamłodu?

— Tak, — rzekła, i w oczach jej zalśniło jakieś rozmarzenie, coś jakby odblask szczęśliwych wspomnień o dobie słonecznej jutrzenki żywota.

— Zginął podobno w sposób straszny? — wypytywałem natarczywie; nie mogłem się pohamować, musiałem to usłyszeć z jej ust, było to jakieś okrucieństwo i ciekawość zarazem, coś w rodzaju zainteresowania zbudzonego przez dramat. — Utonął? Mówił mi o tem przyjaciel mój. Ach, jakiż potworny żywioł — to morze!

— Jest to żywioł potężny, — rzekła cicho, — i była to wielka boleść. Ale nie ja jedna jej doznałam; ileż wdów i sierot woda tam u nas nie narobiła! Ale my nie możemy się go wyrzec, tego morza, — my, którzyśmy się tam u jego brzegów narodzili. Pochłania nam mężów, synów, braci, ale tęsknimy za niem, jeśli w dali od niego żyć nam wypadnie. Tak już jakoś pan Bóg nas stworzył. Należymy do niej, do tej wielkiej wody, ona grzebie nas i żywi, ale ona naszą jest również i lgniemy do niej całem sercem.

— A jak się zdarzyło to nieszczęście z mężem pani? — spytałem. Pani Celestyna rozgadała się i miała do mnie jakieś zaufanie; czułem, że jestem jej sympatyczny. Siadła na krzesełku pod oknem.

— Jak się to zdarzyło? — rzekła pomału. — Tak, jak się zdarza zazwyczaj. Żyliśmy z mężem szczęśliwie i spokojnie w Cayeux. Zna pan Cayeux, prawda? Cayeux-sur-mer — w Pikardyi? Małe miasteczko na piaskach, ale miłe, miluchne. Mieliśmy ładny domek, kawałek pola na kartofle i ogródek. Piotr tak lubił kwiaty. Tak miał na imię mój nieboszczyk. Był rybakiem. Pewnego razu najął go pan Belfort. Łódź miał dobrą, piękną — i pojechali na dłuższą wyprawę. Poczyściłam tymczasem wszystko w domu i doprowadziłam ogródek do porządku. Wszystko u nas świeciło się jak nowe w ów wieczór, gdy czekałam nieboszczyka z powrotem. Zapaliłam lampę, zgotowałam wieczerzę. Czekam i czekam, mąż nie przychodzi. Powieczerzałam tedy sama i siadłam prząść. Na dworze był mocny wiatr, ale nie czułam żadnej obawy, morze wcale mi się złem nie wydawało. Widziałam wprawdzie przez otwarte okno kobiety śpieszące do kaplicy, kędy się modlimy, ilekroć łodzie z naszymi drogimi znajdują się podczas burzy lub wichru, na morzu, daleko od przystani. Musiałeś pan takie kaplice widywać u nas lub w Bretanii,

gdzie przed ołtarzem wisi zawsze mała łódeczka? Widziałam tedy kobiety, idące w czarnych płaszczach koło naszego domu, ale najmniejszego nie czułam niepokoju. Przędłam, czekając ciągle. W końcu wszakże wzięłam również swój czarny płaszcz — wszystkie go tam u nas nosimy — i chciałam także pomodlić się z innemi. Gdym doszła do końca ulicy, stało tam w gromadce kilkoro dzieci i jeden z chłopców mówił do któregoś z towarzyszy: „Wiesz, że Belfort zginął?“ Gdym usłyszała nazwisko patrona łodzi, na której mąż mój odpłynął, zlękłam się wprawdzie ogromnie, ale myślałam: Czego te dzieci nie opowiadają! Poszłam tedy dalej, ale już nie do kaplicy; zboczyłam ku domkowi zamężnej siostry. Podeszłam cicho i cicho otworzyłam drzwi; jakoś mi już było dziwnie na duszy. Siostra, mąż jej i syn siedzieli u stołu i płakali gorzko. Nawet mnie nie spostrzegli. Nie mogłam zrobić kroku, nie pytałam się już, czemu płaczą. Powiedziałam sobie tylko, tak jakoś wewnętrznie, sama dziś nie wiem jak: Już masz swoją ranę! Miałam, miałam tę ranę w sercu, to była prawda: zostałam wdową. Tak zaczęła się ma żałoba. Na drugi dzień przyszli ludzie i przynieśli pewność; ściskali mi ze współczuciem ręce i rzekli: „Widzieliśmy, jak łódź zginęła. Nie szukaj, biedna, i nie czekaj.“ Nie szukałam już i nie czekałam, ale były jednak chwile, gdy sama do siebie mówiłam jak we śnie: To nie może być, on wróci. I pielęgnowałam ogródek, zaświecałam co wieczór lampę i stawiałam ją tam, gdzie siadywał czytając gazety. Po trzech miesiącach znaleziono trzy trupy w Treport. Poszłam tam. Z odzieży poznałam, że żaden z nich nie jest moim mężem. Nie znaleziono go nigdy. Gdym już straciła nadzieję, by go można było pochować w ziemi święconej, dałam odprawić w kościele nabożeństwo żałobne, a w domu potem, jak to u nas we zwyczaju, postawiliśmy krucyfiks w głowach łóżka, zapalili świece, na-

kryli łóżko białym całunem z czarnemi łzami, jakby umarły tam leżał, potem przyszedł ksiądz i sąsiadki i krewni, i każdy się pomodlił jak przy trumnie, a odchodząc kropił święconą wodą powietrze w kierunku łóżka. Tak tedy pochowaliśmy go jednak po chrześciańsku, choć nam go ta woda nie wydała. Ale i ją stworzył pan Bóg, i ona tedy jest Pańska jako ziemia, czyż to nie jest pociechą? A łódź została także gdzieś tam pod wodą; po latach, latach zaczepiła się podobno rybakowi zapuszczona sieć o jej szczątki. Ale ja już wtedy nie byłam w Cayeux; gdy na dodatek dziecko moje, po jego śmierci urodzone, zmarło, wyniosłam się — i ktoś tylko pisał mi o tem. Nocami tu w Paryżu miewałam o tem sny, i nie dawno jeszcze śniło mi się, jak ta łódź tam w dole zgruchotana leży między skałami pod tą głęboką wodą. I szum tych fal słyszałam we śnie często, a gdy się budziłam, serce tak jakoś tłukło mi się w piersiach jakby z żalu i tęsknoty! Czy uwierzysz pan? Miałam niekiedy wrażenie, że młode lata za mną się oglądają. Nie pojadę tam zapewne już nigdy z powrotem. Cóż robić — idziemy drogami, które Bóg nam wyznaczył.

Pani Celestyna wstała spokojnie. Coś tam poprawiła przy czepku na głowie, potem wzięła flaszeczkę z kroplami ze stołu, podziękowała uprzejmie, pozdrowiła nas obu z uśmiechem i wyszła z pokoju. Popatrzyliśmy z Rojkiem na siebie — i milczeliśmy przez chwilę. Wyczytaliśmy sobie nawzajem wzruszenie z oczu. Nim zdołaliśmy przemówić, wróciła pani Celestyna.

— Wybacz pan, — rzekła do Rojka, jestem już zupełnie do niczego! Miałam zapytać, czy panu czego nie potrzeba, a tu gadam, gadam i, zgubiwszy się we wspomnieniach swej bolesnej przeszłości, zapominam o dzisiejszych pańskich przykrościach!

— Nie potrzeba mi nic, dobra pani. — rzekł Rojko.

Pani Celestyna wszakże jęła krzątać się po pokoju, uporządkowała rozrzucone rzeczy, starła tu i ówdzie kurze ściereczką i dopiero po ponownem zapewnieniu Rojka, że nic nie potrzebuje, wyszła na dobre.

Rojko siedział na łóżku, na oba policzki wybiły mu się blado różowe plamy, oczy świeciły gorączkowo — i niespodzianie zaczął mówić:

— Serce ludzkie, — rzekł z cichym jakimś zapałem, — jest niepojęcie głębokie i tak bogate w uczucia piękne i wzniosłe, że uboga mowa nasza słów na nie dość w sobie nie ma! Ale, w stadyum dzisiejszego naszego rozwoju, nawpół nawet tego serca ludzkiego znać nie możemy, bo nie osiągnęło dotąd całej możliwej potęgi swojej. Ludzkość, jak ją dziś widzimy, nie jest jeszcze właściwą ludzkością, jest tylko cieniem, zarysem, przeczuciem tego, czem kiedyś się stanie! Ludzkość dzisiejsza istnieje tylko na to, aby pójść na ofiarę, do najwyższego swego wzniesie się ideału, gdy sama siebie rozbije na jakimś krzyżu i zstąpi do grobu, aby zeń później powstać na prawdziwy tryumf i chwałę! Ród ludzki, taki, jakim jest dzisiaj, nie zasługuje na nic prócz cierpień i boleści, i być może, iż tu na ziemi, gdzie wszystko, co dziś jest człowieczeństwem, musiało uprzednio przejść stan roślinny i zwierzęcy, — tego przyszłego stadyum ludzkiego, lub, lepiej mówiąc, tego ideału nadludzkiego nie osiągnie wogóle! Może duch ludzki, który jest duszą naszej planety, przejdzie z czasem na planetę inną, aby tam gloryfikacyę swą urzeczywistnić, podczas gdy bezduszny trup matki ziemi, wyrwany z orbity swej, zapadnie w czarną mgłę wygasłego słońca jakiegoś, niby w grób predestynowany!

Umilkł znużony. Słuchałem z podziwieniem. Zkąd rozgadał się tak nagle o ludzkości i sercu ludzkiem? Byłże to skutek wrażenia, wywołanego opowieścią tego prostego serca, pani Celestyny? Ująłem go za rękę.

— I pan, — rzekłem, — pan, nie wierzysz w Boga, pan — ze swą płomienną żądzą ideału?

— Daj mi pan spokój, odejdź pan, spać mi się chce, — odpowiedział szorstko. — Jestem znużony śmiertelnie, czego pan chcesz ode mnie?

Podniosłem się.

— Pan usychasz z pragnienia wiary! — rzekłem. — Męką pańską jest, że wierzyć nie zdołasz. Widzę to zupełnie wyraźnie.

— Bóg, Bóg, wiara, wierzyć! — szeptał otwierając oczy, które w senności jakiejś przymknęły mu się przed chwilą. — Za przemijającem nieprzemijające, — dodał cicho po chwili, — oto mniej więcej pojęcie me o tem, co zazwyczaj nazywamy Bogiem. Gwoli wyrazistszemu wyobrażeniu tego, czego nikt wyobrazić sobie nie zdoła, przyodziewają ludzie pojęcie to w postać ludzką wielkich rozmiarów, wielkich — naturalnie — w stosunku do swych pojęć i do swej miary... Ale czemu pytasz mię pan o to? — zawołał gniewnie. — Cóż to za ciekawość? Masz pan wiarę? Dobrze. Więc wierz — i nie osłabiaj jej zagłębianiem się w pojęcia innych ludzi. Niebezpieczne to, co pan poczynasz ze mną, niebezpieczne dla pana samego. Znałem w Meksyku człowieka, dziwaka wielkiego, który zapragnął widzieć własny pogrzeb. Był bardzo bogaty i nie szczędził pieniędzy; co tu w Paryżu wydałoby się niemożliwem, okazało się możliwem tam za morzem. Przy pomocy pieniędzy i przeróżnych fortelów osiągnął to, czego żądał. Urządzono mu pogrzeb bardzo uroczysty. Leżał w trumnie szklanej, a księża, którzy nie wiedzieli o tem oszukaństwie, śpiewali nad nim pogrzebowe pieśni. Otóż, w ciągu obrzędu — zmarł... Pan badasz zanadto, co się dzieje w innych, strzeż się, aby ci się nie stało jako onemu człowiekowi: wmyśliwszy się zbytnio, z prostej ciekawości, w te uczucia i myśli, mógłbyś pan w nich uwięznąć.

Mówił w widocznej gorączce. Nawet nie zwracając uwagi na pałające oczy, na gorące dłonie i na burzliwe pulsów bicie, poznać to było można z nagłych nieumotywowanych zwrotów i z dziwnego braku spójni w jego mowie. Ale to, co mówił, niesłychane robiło jednak na mnie wrażenie, i wybiegłem od niego w jakimś strachu niewytłómaczonym, z silnem postanowieniem, że mniej często odtąd odwiedzać go będę. Nie chciałem go wszakże opuścić tak bez opieki w chorobie; uprosiłem tedy przyjaciela swego, Anatola, lekarza o wiele doświadczeńszego, niźli sam byłem, by się nim zajął przez czas jakiś.

Anatol chodził codzień do Rojka i przynosił mi o nim wiadomości do szpitala i do kawiarni. Potem, gdy myśli moje uspokoiły się nieco, zacząłem mu towarzyszyć do domu „pod tonącą gwiazdą,“ ale, jako lekarze, niewiele pomagaliśmy Rojkowi jeden i drugi. Słabł i nikł w oczach z jakiejś choroby ukrytej, dusznej, zagadkowej, umierał powoli jak gdyby bez żadnej przyczyny cielesnej. Anatol patrzał na Rojka jako na dość zajmującego człowieka, nawpół chorego na umyśle, ale nie zdradzał dlań ani współczucia, jakie Rojko we mnie budził, ani zajęcia, które mnie do dziwnego tego człowieka tak nieodparcie przywiązywało. Rojko bywał w obecności Anatola bardzo milczący; czuł do niego widoczną antypatyę i, acz krępując się poniekąd, nie taił się z nią jednak bynajmniej. To też wkrótce Anatol przerwał zupełnie swe odwiedziny. Próbowałem teraz Rojka namówić, albo aby wezwał innego lekarza, albo aby wstąpił do jakiego szpitala. Ale nie chciał o tem słyszeć. — Umrę u siebie w domu, — odpowiedział krótko, — żaden lekarz mi nie pomoże. Coby inny potrafił doradzić, potrafisz i pan. Bądź pan tedy sam moim lekarzem, albo zrzekam się wogóle wszelkiej lekarskiej pomocy.

Był uparty, i uległem w tem, równie jak w innych

rzeczach, jego wpływowi. Skutkiem tego, zacząłem bywać znowu, naprzód, bardzo częstym, a potem codziennym gościem w domu „pod tonącą gwiazdą,“ i cały dom mnie znał, i pomału przyjęli mię ci z jego mieszkańców, z którymi bliżej się stykałem, jakby za swego.

Traf chciał, że niezadługo poznałem się bliżej i z ową biedną kobietą, która tak płakała, gdy ją gbur wojskowy twardo od siebie odtrącił.

Siedziałem u Rojka, bardziej niż kiedykolwiek posępnego, smutnego i milczącego, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła pani Celestyna. Była blada jak trup.

— Na Boga! pomocy! pomocy! — wołała zdyszanym głosem. — Prędko, prędko, panie, inaczej może się stać morderstwo!

Odbiegła równie szybko, jak wpadła, a ja pośpieszyłem za nią po schodach na półpięterko pod „klatką obłąkanych.“

Tam ujrzeliśmy owego jasnowłosego pięknisia wojskowego, którego znałem już z widzenia; wypadł tylko co z pokoju owej kobiety, był wściekły, rozszalały, a ręce, które sobie ocierał chustką od nosa, miał we krwi zbroczone.

— Biada! — krzyknęła pani Celestyna i zachwiała się, — biada! Zabił ją, zabił z pewnością tę biedną Wirginię! Słyszałam rozpaczliwy jej krzyk! A teraz ta martwa cisza!

Wbiegliśmy do pokoju: tymczasem ze wszystkich stron słychać już było otwieranie drzwi i pośpieszne kroki zaniepokojonych mieszkańców; cały dom się zbiegał. Owa kobieta, którą pani Celestyna nazwała Wirginią, leżała na ziemi, w odzieży potarganej, z włosami w nieładzie, ze śladami krwi na twarzy, szyi i piersiach. Była w omdleniu. Podniosłem ją i złożyłem na stojącej w po-

bliżu kanapce. Pani Celestyna skrapiała jej skronie wodą. Wirginia otworzyła oczy i spostrzegła rozciekawione twarze tłoczących się we drzwiach mieszkańców domu.

— Niech pani ich wypędzi, pani Celestyno, — były pierwsze jej słowa. — Pani Celestyno, niech pani zamknie drzwi. Zrobiło mi się niedobrze... Upadłam... Skaleczyłam się do krwi...

Pani Celestyna powtarzała te słowa, prosząc zebranych, by się rozeszli i Wirginii nie rozdrażniali. Tymczasem Wirginia wpatrzyła mi się w oczy badawczo, chmurnie, ponuro.

— Umrę? — spytała cicho.

— Nie sądzę, — odpowiedziałem. — Nie! Rany nie są tak głębokie — —

— Szkoda, — odparła. Krótkie to słowo kryło w sobie w tej chwili całą otchłań żalu.

— Chciał panią zamordować? — spytała pani Celestyna.

— Kto taki? Tu nikogo nie było. Upadłam tylko — wyjąkała śpiesznie i z pomieszaniem Wirginia.

— Słyszałam, jak-eś pani wołała o pomoc, — rzekła pani Celestyna, — potem widzieliśmy go, jak wypadł z pokoju — —

— Leona? — spytała z najwyższym niepokojem Wirginia. — Pan go nie wyda, — zawołała, chwytając mnie gwałtownie za rękę, — pan go nie wyda! Nawet gdybym umarła! Ja nie chcę! Błagam pana! Co komu do tego, gdyby mnie nawet zabił? to moja rzecz, a... a... a ja... chciałabym umrzeć.

Przymknęła oczy i dwie strugi łez potoczyły się z pod posiniałych powiek.

Chwilę staliśmy z panią Celestyną w milczeniu, wzruszeni i smutni. W pokoju była cisza aż głucha. Nagle zaczął śpiewać ptak, słodko, przeciągle, marząco. Spojrza-

łem w kierunku, zkąd śpiew dochodził: ptak siedział w klatce u okna, zarośniętego od góry do dołu soczystem listowiem jakiegoś czerwono kwitnącego pnącza. Było to tamto okno, które, zanim się dostałem do domu „pod tonącą gwiazdą,“ budziło we mnie romantyczne widzenie: że za niem kryje się „wcielona poezya,“ wcielona w młode, piękne dziewczę, czystą lilię, wyrosłą jakimś cudem z gruzów i szczątków tej starożytnej dzielnicy paryzkiej, jako w baśni z ruin walącego się zamczyska! A oto leżała przede mną ta nieszczęsna kobieta, niemłoda, nędzarka, pokalana, zgubiona, krwią zalana i roniąca łzy! Litość przejęła mnie niezmierna. Ale opamiętałem się prędko i od rozmyślań przeszedłem do czynu. Z pomocą pani Celestyny obmyłem i przewiązałem rany Wirginii, które nie były ani głębokie, ani śmiertelne. Potem poprosiłem panią Celestynę, aby została u tej kobiety, póki nie wrócę. Pojechałem do najbliższej apteki, nakupiłem, czego było trzeba do lepszego, dokładniejszego opatrzenia pacyentki, i powróciłem do niej wkrótce. Usnęła była tymczasem, nie chcieliśmy więc budzić jej z tego słodkiego boleści wszystkich zapomnienia. Poszedłem z powrotem do Rojka, a pani Celestyna chodziła po całym domu, uspokajając zatrwożonych mieszkańców, objaśniając, że chodziło nie o żadne morderstwo, lecz o zbyt brutalne obejście, i prosząc, aby ciekawością próżną nie niepokoili chorej, która za dzień lub dwa najdalej zupełnie przyjdzie do siebie. Idąc od Rojka wstąpiłem znowu do Wirginii. Leżała na łóżku, ale nie spała już; była blada, ale dość spokojna. Zapłakane jej oczy patrzyły na mnie błagalnie. Wydało mi się, że chce ze mną o czemś pomówić. Siadłem tedy obok jej łóżka, ująłem ją za rękę i, dobywszy zegarek, jąłem liczyć bicie jej pulsu, zostawiając jej w ten sposób dość czasu do przygotowania w sobie tego, co powiedzieć mi chciała.

— Panie, — zaczęła nieśmiało, — pan widział zatem Leona, jak uciekał z mego mieszkania? Otóż, niech pan mi przyobieca, że nikomu o niczem pan nie powie. Byłoby zaraz śledztwo — i Leona spotkaćby mogła jaka kara.

— Obiecuję ci, że będę milczał, jeżeli tak sobie życzysz; ale nędznik ten zasługiwałby właściwie na karę. Dla czego cię bił?

— Chciał pieniędzy. Dałam mu wszystko, co miałam, ale było mu tego za mało. Bił mnie — że mało zarabiam. Czyż to moja wina, żem już brzydka i że się starzeję — —

Umilkła i spuściła oczy.

— A dla czego dajesz mu pieniądze? — spytałem ze zdziwieniem i ciekawością.

— Kocham go, — rzekła z prostotą.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem już nietajonem. Zaczerwieniła się lekko.

— Jestem kobieta sprzedajna i godna pogardy, — rzekła, — ale kocham go. Jam stara i brzydka, on młody i piękny — kocham go. Ludzie śmieją się ze mnie. Cóż-em ja winna, że, choć postarzałam się, kocham jeszcze — i to po raz pierwszy w życiu! Tak, po raz pierwszy. On mnie nie kocha, mój Boże, jakżeby mógł? On taki piękny, tyle młodych dziewczyn za nim szaleje! Ale chce pieniędzy, które mu daję; pieniędzy nigdy mu niedość. Daję mu wszystko, wszystko, choćbym głód miała znosić. Poniżam się, sprzedaję się zapóźnionym w nocy pijakom, którzy również mnie biją; ale cóż mi to wszystko, jeśli on, biorąc te pieniądze, choć czasem uśmiechnie się do mnie.

— Ależ to szaleństwo! — zawołałem. — Walcz z tą słabością, bo to słabość aż nikczemna!

— Niech sobie taką będzie, — odpowiedziała, — to jedno trzyma mnie nad wodą! Gdybym choć raz jeden

w życiu nie kochała tak, zupełnie bezinteresownie, czyliż zdołałabym znieść świadomość swego upadku? Co pan nazywasz słabością, nikczemnością, to będzie snadź jedynem usprawiedliwieniem mem kiedyś przed Bogiem. Wszystkim sprzedawałam się, jemu się oddaję. Od wszystkich brałam pieniądze, ale on bierze ode mnie.

Powiedziała to z taką prostotą, z takiem przekonaniem, iż zawstydziłem się, żem jej ten zarzut zrobił. Była mi równie mało śmieszna ta podstarzała kobieta, mówiąca z uniesieniem o swej miłości, jak ta biedna, o piętro wyżej margrabianka, w której przygasającym duchu błędny ognik nigdy w rzeczywistości niezaznanych uczuć macierzyńskich dotąd połyskał. W milczeniu uścisnąłem rękę Wirginii. Spojrzała na mnie z wdzięcznością, żem ją zrozumiał. Wyjąłem trochę pieniędzy i położyłem je na stole koło jej łóżka. — Zostawiam ci tu, — rzekłem, — na konieczne potrzeby. Jutro obejrzę znowu twoje rany.

Zatrzymała mię za rękaw. Miała łzy w oczach.

— Panie — szeptała, — dzięki za pańską dobroć... Ale, posłuchaj pan, nie bierz mi pan za złe... Gdyby przyszedł Leon, ze skruchą, że mnie dręczył, że mnie zbił... gdyby chciał znowu pieniędzy... wiedz pan, nie powstrzymałabym się i oddałabym mu wszystko... Niech pan je tedy weźmie raczej z powrotem... te swoje pieniądze... Panby nie chciał, wiem, abym je dała — jemu.

— Są twoje, — odpowiedziałem, — możesz z niemi postąpić, jak ci się spodoba. Nie będę się pytał, co-ś z niemi zrobiła.

Chwyciła mnie jeszcze mocniej za rękę, zanosząc się od płaczu.

— Niech Bóg panu to odpłaci, — rzekła wreszcie. — Jam kobieta zgubiona i współczucia niegodna, ale nie byłam nią zawsze. Ach, może nie byłabym tem, czem jestem, gdyby mój brat nie był umarł... Mój biedny Teo-

dor! Nie miał jeszcze lat ośmnastu, gdy umarł w seminaryum, tam daleko, w Bretanii, gdzieśmy oboje się porodzili. Ach, panie, panie, to był anioł czystości, mój Teodor! Był o dziesięć lat młodszy ode mnie, a taki prosty, taki dobry! Był jeszcze u rodziców, gdy odeszłam na służbę do Paryża. Kochał mnie aż namiętnie, i tak tęsknił, tak tęsknił za mną! Nie miał przeczucia, czem jest grzech, w który wkrótce upadłam. Opuściłam służbę i wiodłam życie rozwiązłe. Nie było to z potrzeby, z nędzy, żem się rozpuście oddała, było to ze swawoli. A potem — chciałam być bogatą. Marzyłam o tem, aby powrócić do Bretanii, kupić sobie domek z ogrodem i mieć klejnoty, i srebra, i stroje! Tyle w służbie się nie zarobi. Ach, Bóg mnie ukarał, widzi pan, umieram w nędzy... A niech pan sobie wyobrazi takie ostrzeżenie: kiedyś, podczas jakiejś hulanki w wesołem towarzystwie, opowiada nagle jakiś komiwojażer, że był w Pont-Aven, mojej miejscowości rodzinnej, i że tam chłopiec jakiś, którego spotkał w lesie, pytał go, czy mieszka w Paryżu, a gdy mu odrzekł, że tak, zawołał podobno radośnie: „Ale w takim razie musisz pan znać Wirginię, moją siostrę, która służy u pana Delatre przy ulicy de Rennes! Jakże mógłbyś pan jej nie znać!“ Wszczął się ogromny śmiech z naiwności owego małego bretończyka, ale ja płakałam, bom poznała, że chłopcem, który w lesie przechodniów o mnie wypytywał, był Teodor, ja to bowiem u owego pana przy ulicy de Rennes pierwszą swą objęłam służbę, a Teodor, nie przeczuwając, co się ze mną dzieje, myślał, że dotąd tam służę! Panie, panie, nie był-że to palec Boży, że mi ktoś w tem rozpustnem towarzystwie musiał bezwiednie mego anielskiego przypomnieć brata? A wszyscy wówczas tak się śmieli. Ja jedna płakałam — ale na dobrą drogę nie wróciłam jednak! —

Zamilkła, a twarz powlókł jej śmiertelny jakiś smu-

tek. Pocieszałem ją, jak mogłem. Uspokoiła się poniekąd. Zabierałem się do odejścia.

— Niech mi pan poda, — poprosiła mnie jeszcze, — tę fotografię, tam, na oknie. To Leon. Przed rokiem byliśmy razem na dorocznym jarmarku pierników na placu Narodu. W jednym z szałasów był tam fotograf — i zrobił mi ten portrecik Leona tak zadziwiająco tanio! A potem Leon kupił mi świnkę z piernika z wypisanem na niej żółtym lukrem mojem imieniem. Zjedliśmy ją na pół. Miała nam ta świnka przynieść szczęście.

Podałem jej wyblakłą, nędzną fotografię tego nikczemnika. Zapatrzyła się w nią przy blasku ciemnej świeczki z takiem uniesieniem, że nawet nie zauważyła, gdym mówił jej dobranoc.

Miałem iść do domu, ale przypomniałem sobie, że poproszę panią Celestynę, tego ducha miłosierdzia i współczucia w mrocznym domu „pod tonącą gwiazdą,“ aby w nocy od czasu do czasu zajrzała do Wirginii, czy jej czego nie potrzeba. Potem, gdym załatwił tę sprawę, przyszło mi na myśl, że się nie pożegnałem z Rojkiem. Poszedłem tedy do niego. Leżał na łóżku po ciemku. Zapaliwszy małą lampkę i rzuciwszy nań okiem, przeląkłem się wyrazu jego twarzy. Nie było to już rozdrażnienie czy gorączka, był to wyraz twarzy szaleńca.

— Zabił ją? zabił? — pytał i śmiał się strasznym, dzikim, chrapliwym śmiechem.

— Czyż pan ją nienawidzisz, że okazujesz na tę myśl taką radość? — odpowiedziałem gniewnie, zapominając, że Rojko nie panuje widocznie nad swemi zmysłami.

— Oh, cóż ona mnie obchodzi, — zawołał, — ale on, on, jakże mu zazdroszczę!

— Czego mu pan zazdrościsz?

— Uczucia po dokonanej zbrodni, tego pierwszego okamgnienia tragiki!

— Odchodzisz pan od zmysłów, — wykrzyknąłem zdumiony.

— Wiem dobrze, co mówię! Nie popełniłeś pan nigdy morderstwa, albo innej ciężkiej zbrodni, jednem słowem, grzechu, za którym idą przekleństwa ludzkie i kurczowe szarpanie się tego, co nazywamy sumieniem?

— Bogu dzięki, nie! — zawołałem.

— W takim razie, nie zdołasz pan pojąć tego uczucia. W takim razie nie wiesz pan, co to jest stać nagle jak gdyby na wysokim piedestale, wznosić się wysoko, ponad całem powszedniem, zdawkowem otoczeniem! Widzieć rozpadlinę, bezdenną jak morze, która nagle oddziela nas od świata całego! Po zbrodni człowiek ukazuje się sobie nagle w zupełnie innem niż przed tem oświetleniu, i nietylko on sam, ale i świat wydaje mu się naraz czemś różnem od tego, za co go brał dotąd! Nareszcie, zna sam siebie! Nareszcie jest wielkim filozofem! Nero wiedział dobrze, iż wielki złoczyńca jest zarazem poniekąd wielkim artystą. Krwawą drogą uganiał się za pierzchającą muzą swoją. A jakąż osłupiałą miał dokoła siebie publiczność! Zbrodnia ma coś wspólnego z dziełem sztuki, w artyście podobnie jak w zbrodniarzu jest coś, co go pcha do tego, co ma uczynić, pcha ślepo — — tajemnica, której nikt zbadać nie zdołał! Tylko wielki artysta zdoła czuć równie intensywnie jak wielki zbrodniarz, albo też naodwrót, jeśli pan chcesz!

— Albo mówisz pan rzeczy potworne, albo nie wiesz, co mówisz! — wykrzyknąłem. Mróz przebiegał mi ciało. Ale coś mnie pchało, gwałtownie pchało ku temu dziwnemu człowiekowi, musiałem, czułem to, że musiałem przedostać się aż do jego wnętrza. Ująłem go za rękę i zaszeptałem, sam nie wiedząc jak i dla czego: — Mówisz pan z własnego doświadczenia?

Zaśmiał się głośno.

— Może czytałem gdzieś to, co panu teraz deklamuję! — zawołał. — Człowiek tyle czyta, że niekiedy nie odróżnia już własnych myśli od tych, które się w nim tylko jako echo odzywają.

Próbował wyrwać rękę z ręki mojej, ale trzymałem go mocno. Naraz przyszło mi na myśl, że wówczas w szpitalu, gdy mi po raz pierwszy opowiadał o swych losach, wyrwał mu się mimowoli ten śmiertelnie smutny szept: „Wina, moja wina!“ Jakaż to wina była?

— Pan mówisz z własnego doświadczenia! — wykrzyknąłem. — Przyznaj się pan, przyznaj! — Byłem teraz sam jak w gorączce. Szaleństwo jego doprowadziło i mnie do szału jakiegoś. Rojko był teraz blady śmiertelnie, a w wytrzeszczonych oczach znać było nagłe przerażenie. Ale, porwany szałem, żadnej nie miałem dlań litości.

— Mów, mów, mów! — wołałem rozkazująco.

— Dobrze więc, — odpowiedział szeptem, jak gdyby ujarzmiony moją energią. — Gdyby nie ta groza, — dodał szeptem jeszcze cichszym, — która idzie z rzeczy nieżyjących! Po raz pierwszy przerażenie na mnie padło z wielkiego złomu skalnego, gdym pierzchał z zamku, w którym umarła. Skalisko to widziałem sto razy, ale nigdy nie zwróciłem na nie uwagi. Ale wtenczas, po jej śmierci, zmieniło się zupełnie. Nabrało naraz okropnej tej właściwości, że spoglądało, że patrzało, chociaż nie miało oczu! Nie miało żadnych oczu, nawet farbą naznaczonych, czy w kamieniu wyrytych, nic w niem najlżejszego do oczu nie miało podobieństwa, złom skalny bezkształtny, głaz prosty, zwykły — a patrzał! To była ta groza nieopisana! Owe źrenice, których wcale nie było, przejmowały mrozem do kości i jeżyły lasem włosy na głowie!

Przy tych słowach, wydało mi się, że wszystkie ściany, wszystkie przedmioty w pokoju pełne były niewidzialnych, nieokreślonych oczu, i dziwne, nigdy przedtem nieu-

czuwane przerażenie chwyciło mnie w swe szpony. Usta drżały mi, gdym szeptał do siebie: „Ten człowiek doprowadzi mnie do waryacyi!“ Puściłem jego rękę, oddaliłem się o krok i zacząłem ocierać zimny pot z czoła. Nagle zrozumiałem, co to jest groza wychodząca z rzeczy.

Rojko powstał z wysiłkiem z łóżka i chwycił mię za rękę.

— Chciałeś wiedzieć, — rzekł prawie uroczyście, — zatem wiedz! Tak, popełniłem zbrodnię. Przez zdradę zburzyłem szczęście dwojga ludzi. Nietylko szczęście: zatraciłem też dwa życia ludzkie...

Poprowadziłem go z powrotem do łóżka, bo nogi pod nim się trzęsły, i bałem się, że upadnie. Teraz litość przeważyła we mnie wszystkie inne uczucia, i zacząłem uspokajać Rojka.

— Opamiętaj się pan, — prosiłem go, — nic mi pan nie wyznawaj, nie dziś przynajmniej! Jakież miałbym prawo żądać od pana takiego zaufania? Zapomnij pan o wszystkiem, co-m powiedział nierozsądnego, sam byłem w gorączce i nie wiedziałem, co mówię!

Ale Rojko, jak gdyby nie słysząc, trzymał mnie coraz mocniej za rękę i z widocznym wysiłkiem, ale szeptem wyraźnym, przeszywającym tak zaczął mówić:

(Ciąg dalszy.) Juliusz Zeyer.

Colloquium.
(FRASZKA.)

Poecie Wieprz przymówił
Szczecino - włochaty:
— „Kto nie umie żyć życiem,
Pisze poematy.“

Rzekł Poeta cierpliwie:
— „Tyś na to ustworzon,
Abyś umiał żyć łajnem,
A ja — myślą bożą.“

— „Łajnem albo nie łajnem“ —
Rzekł Wieprz dobroducha, —
„Nie może żyć inaczej,
Kto natury słucha.

Myśl?.. Rym?.. — pfuj!.. Oto co mnie
Poi i zasyca:
Kąpiel błotna, żer swój, chlew
I swoja samica.“

Odpowiedział cierpliwie
Poeta: — „W naturze
Jest bezwzględność, duch — we mnie,
Brud — w świni, mój kmurze.“

— „A moja filozofia" —
Rzekł Wieprz — „ma się inak:
Ruch, wicher makaronów,
Gwałt, krzyk, czarny szpinak.

Poezya — to zwichnięte,
Puste apetyty:
Nie piórkiem lubi dłubać,
Kto zdrów, kocha, syty.

I chociażby ci słowa
Te były niemiłe,
Powiem: na życiu zna się,
Wiesz, ten, kto ma siiłę."

Rzekł Poeta cierpliwy:
— „Panie brudny morus,
Żryj, pij, chlap, żyj, lecz nie sądź:
Do tegoś nie dorósł.

O sile — milcz, bądź niemy
I nie mów, bo we łbie,
Zamiast myśli i rymów,
Masz węgry i kiełbie."

Po replikach, Wieprzowi
Gdy było markotno,
Załkał i rzekł: — „Tyś umarł,
O, jakże mi smutno!

Ty nie żyjesz... ci powiem,
Lub mnie lub nie lub:
Życie — tylko na ziemi,
Pod nią, nad nią — grób."

Rzekł Poeta cierpliwie
Mową prozaiczną:
— „Umityguj się, Wieprzu,
Zmiarkuj i nie kwicz-no.

Ty bierzesz to „co wlezie"
Z życiowych małostek,
Przeto wszędy twe „życie,"
Wszędy wkręcasz chwostek.

Ja nie „żyję," bo NIE CHCĘ
„Żyć," i powiem więcej:
Żyłbym, lecz życiem PIĘKNEM:
Plwam na byt prosięcy."

To mówiąc, gdy Wieprz jeszcze
Do rozmowy płonie,
Zabił go i rad spożył
W zimnym salcesonie.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Własność narodowa“ i stan rzeczy. Po śmierci pisarza realnego, naprzykład, pisarza: prowentu, gminy, biura, społeczeństwa,*) o ile się taki pisarz realny w tem życiu dobrze „spisał,“ czyli zostawił dobra, z dóbr tych, jako z prawem przynależnego dziedzictwa, albo zapisu, korzystają zstępni nieboszczyka, po nich — zstępni zstępnych, i tak dalej, bez lat ograniczenia. Po śmierci pisarza idealnego, czyli poety, dzieła jego, po latach już pięćdziesięciu, stan rzeczy uważa za własność całego narodu, całego z wyjątkiem... kogo? — no, oczywiście, tych zstępnych poety oraz ich potomków, którychby licho później odnalazło i przyniosło. Mija pół wieku i oto mamy taki obrazek. Jest święto uczczenia półwiecznej nieobecności poety wśród żywych. Z dzieł jego całą gębą korzysta „naród,“ który go wydał, czyli naród wydawców, a zstępni, którzy się właśnie odnaleźli i, jako ubodzy krewni poety, przyszli na bankiet, patrzą zdaleka, wygłodzeni, wypalają się jeden za drugim i gasną jak szabasówki, czyli świece, przy których odbywa się sabat. Społeczeństwo cieszy się i pęka z dumy, że posiada własność narodową, a z własności tej korzysta jedynie wybrany naród wydawców, księgarzy i drukarzy. Jest to zrozumiały stan rzeczy i tak starozakonny, że przestalibyśmy się już dawno temu dziwić, gdyby kiedykolwiek zdziwienie to w nas było, i bez dalszych rozmyślań nad tem zjawiskiem, bez poruszania mrzonkowych projektów, że możeby słuszniej było, uszczupliwszy własność „narodową,“ przekazać spadek po artyście na rzecz jakich stowarzyszeń artystów, — przechodzimy do innej części krajobrazu.

---

*) Pisarzem społeczeństwa jest dziennikarz.

Stanem rzeczy u nas i gdzieindziej utrwalony jest obyczaj dawania, a co najmniej obiecywania, premiów do tych pism, z których dochodzi się do premiówek. Na premia i tym podobne dodatki bezpłatne i przysypki zużywa się dzieła Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, tych typowych przedstawicieli „naszej“ własności „narodowej“ tudzież sławy narodu. Za każdym razem, gdy pojęcie „własność narodowa“ urzeczywistnia się, staje ciałem, wydawca pism codziennych lub tygodniowych, czyli pism o krótkim i prędkim oddechu, czyli pism dychawicznych, bo nawet i sprzedawanych częstokroć za „dychę,“ wydawca taki robi potrójny interes: nie płacąc honoraryów, robi honor własności narodowej, że ją raczy wydawać, to jedno; leczy dychawiczność swego organu, to drugie; zyskuje miano szanownego obywatela, gdyż, niewątpliwie, przymnaża narodowi sławnych dzieł w licznych edycyach i egzemplarzach, to trzecie.

Że wydawca, który chwyci za skrzele, dajmy na to, Krasińskiego, wydrze go z saka własności narodowej i kładzie na swój obrus, niczem nie różni się od wydry, chyba tem tylko, że wydra nie kupuje premiówek; że temuż wydawcy chodzi o podtrzymanie ducha narodowego tyleż, co fabrykantowi musztardy o rozwój mięsożerności: to już jest oddawna przyjęty stan rzeczy i o tem mówić nie będziemy. Nie będziemy zastanawiali się i nad tem, że panowie wydawcy, upiększając swe organy premiami, tem samem ubocznie wskazują na tychże organów nikczemność i autodafeizm, czyli samokrytyczne orzeczenie o nich, że są „fe“ i że warte spalenia; mało nas obchodzi również i to, że niejeden prenumerator, zamiast zupełnego wydania dzieł Mickiewicza, wołałby zupełnie co innego, naprzykład: zegarek, byka, dom lub samochód;*) pominiemy i to, że ową sławę narodową puszcza się w świat prenumeratorów, a więc ludzi zamożnych i przyzwoitych, puszcza się w sukience bibulastej, ladajakiej... co, zresztą i słuszna, bo zaż duchowi przystoi odzież insza prócz sławy?.. przemilczymy, nakoniec, i o tem, że ci panowie wybrani, którzy porobili premiówki na własności narodowej, spasieni i rozpasani ci panowie, autorów jeszcze żywych, jeszcze palących się przy tym sabacie, powtykali w swoją łaskawość jak szabasówki, a co znaczyć ma po prostu: świeć mi bakę, gdyż inaczej ani ciebie nigdzie nie wetknę, ani tobie nic nie wetknę... Nie, o tem mówić nie będziemy, bo zamiast o tem mówić, trzeba walić, burzyć, zmieniać. Rzucimy tylko okiem jeszcze na jedną część tego krajobrazo-

*) Takie, realnie wartościowe premia, dzienniki paryskie, chodząc po ulicach, wyjmują z kieszeni i rozdają en plein Paris.

wego, albo lepiej — krajobrażającego stanu rzeczy, którąby można zatytułować:

Pośmiertne wędrówki Słowackiego. W czasie przeprawy okrętu, wiozącego skazanych na Sachalin, więźniom wydzielany bywa cukier, którego kawałków ciż więźniowie używają zamiast pieniędzy i przechowują je po kieszeniach oraz innych mniej lub więcej zanieczyszczonych miejscowościach; szczęśliwiec, któremu się uda wstrzymać obieg tych słodkich liczmanów, roztapia je nakoniec we wrzątku herbacianym, wraz z odpowiednim osadem kurzu i nasiękiem żółtego potu. Liczmanami takiemi u nas są właśnie dzieła Słowackiego, rozdarowywane jako bezpłatne premia więźniom... nie, prenumeratorom, skazanym na Sachalin... nie na dychawiczność ducha warszawskich krótkoterminowych organów. Jeden wydawca bierze kilkaset pudów bibuły, pud za grosz, macza to w poezyach Słowackiego i po wyschnięciu dołącza do szpalt swego codziennego organu. Drugiemu dobrodziejowi społeczenstwa nie dość na tem zwykłem i przez stan rzeczy już utartem zakłócaniu pośmiertnego otium poety. Chcąc zaćmić współubiegających się z nim eksploatatorów własności narodowej, ogłasza, iż daje te same dzieła ale ilustrowane! O, gdyby, przed zaczęciem tych „robót,“ szanowny wydawca przyłożył ucho do ziemi i posłuchał, jak drży treść największego polskiego kolorysty słowa przed oczekującemi ją sztychami, chlapnięciami, pociągnięciami i smarowaniami naszych największych rysowników z Krakowskiego Przedmieścia i tym podobnych pierwszorzędnych ulic w gubernialnem mieście Warszawie!..

Otóż, pewnego dnia, rozsądny zkądinąd przenumerator jednego z takich organów o pot-pourri'owej melodyi, czyli o melodyi pękniętej donicy, odbiera paczkę, bardzo szczelnie zabitą deszczkami. Jest to premium: w środku zabity „Król Duch,“ a z wierzchu i z boków cedułki: Baczność! Sława narodowa! Nieroztrząsać! Kruche! — „Ahm“ — mruczy odbiorca — „znowu coś historycznego. Trzeba to uszanować... Jakóbie, wynieś no to na strych szafy... Ostrożnie, gudłaju, ślepyś? - nie widzisz, że napisano: Kruche!..“ I tak treść Słowackiego, szanowaną z nazwiska, rzeczywisty stan rzeczy, niezaglądający darowanemu koniowi w zęby, opyla zapomnieniem. Czasami, „Ojciec zadżumionych“ (od którego też powinno się trzymać zdaleka, jak od zarazy, a dbać o niego jak o narodową sławę, niedotykalną, bo kruchą), biedny ten ojciec wędruje, już jako upominek, nie premium, do „sąsiada“ i również na strych, bo i tam jest oceniany tylko z okładek, czyli ze studyów jakiego hygienisty, vulgo hodowcy społecznego estetyzmu, albo — z brudu tychże okładek,

czyli z monografii skarpetkowych jakiego praktycznego sportowca.*) Zdarza się i tak, że niektóry synalek, swawolny choć zdolny, wyszpera paczkę, odbije i, zarwawszy coś na pamięć, popisze się deklamacyą imieninową „kawałka“ „Snu srebrnego Salomei.“ — „Ki dyabeł!“ — krzyknie ojciec „zazdrowionych“ — „*z Kolców,* czy co?.. Śmieszne a śmiać się nie można...“ — „Tatuńciu, przecie to Słowacki,“ — hardo odpowiada synalek. — „Psiakrew, dyabli nadali! Myślałem, że na redakcyi porządnego, panie, tygodnika, o którym „Kuryer“ dobrze wzmiankuje, można polegać... Jeżeli to nie humorystyka, tylko seryo, no toć to, panie, czysta dekadentystyczność!“— I nieproszone premium wędruje dalej: albo do pokoiku nauczycielki, albo znów jedzie na poddasze. Chyba, że wda się w stan rzeczy „sama pani“; wtedy „Król-Duch“-tułacz dostaje ładną oprawę i służy do ozdabiania szafy bibliotecznej, gdyż „bądź co bądź — to,“ „zawszeć to,“ „przecie to“ Słowacki. Te „bądź co bądź,“ „zawszećto,“ „przecie to“ dowodzą — bądź co bądź — niewątpliwego szacunku dla sławy narodowej, szacunku, któryby wyrazić się dał w formule: niech sobie jak chce po świńsku to wygląda, zawszeć to nasza sława i wdzięczni być powinniśmy wydawcy, że o tej sławie „pamięta“ i prawie za darmo, bo za cenę pisma, ją rozdaje.

Ach, panie dychawiczny prenumeratorze, gdybyś dbał o sławę narodową sam i dbał rzeczywiście, to standecenie i wszystkie standecenia jej pomysły powinienbyś uważać co najmniej za — plugastwo.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Wł. St. Reymont. *Przed świtem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — St. Przybyszewski. *Poezye prozą.* Warszawa. Fiszer. — Jerzy Żuławski. *Opowiadania prozą.* Warszawa. Paprocki i S-ka. — Juliusz Zeyer. *Jego świat i jej.* Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Alfred hr. de Vigny. *Cinq-Mars.* Przekład W. Laszczyńskiego.

Przed świtem, przez Wł. St. Reymonta. — Trzy utwory nierównej wartości. — Talent — nawet wielki — o ile go nie opanuje całkowicie wola najwyższych jedynie uzewnętrznień, ulega niechybnie miernościowej suggestyi otoczenia, dogadzającej instynktowi najmniejszego wysiłku, i popada w błyskotliwe wirtuozowstwo. — Autor „W jesienną noc“, dzięki swej naturalnej łatwości pisarskiej, więcej

---

*) Tylko anegdotyczny „Mazepa,“ zawdzięczając Leszczyńskiemu i szalonemu ogierowi, którego mają zjeść wilcy, wyrwał się z „rymów“ Słowackiego i przypadł nam do gustu.

niż ktokolwiek inny narażonym być musi na podobne pokusy — i — niestety — nie zawsze je zwalcza, co przedstawia widok jeszcze przykrzejszy, gdy uległość poszeptom nizinnym ogarnie go po wysiłkach wielkich i owocnych. — Taki niepokojący charakter wytchnienia na mieliznach noszą dwie pierwsze nowele zbiorku. — „Przed świtem“, najgorsza, ma piękne szczegóły nastrojowe, lecz jako całość jest chybiona w swej zbyt widocznej intencyi mistycznego dreszczu, przetkliwiona, i pozostawia życzenie większej szczerości i głębi. — „Pewnego dnia“, historya ostatniego protestu człowieczeństwa w „dopełniaczu maszyn“ fabrycznych, ma również duże zalety ruchu i plastyki, bledniące jednak wobec potęgi życia, jaką swym stalowym bohaterom dał choćby Zola; proces zaś przesilenia duchowego został raczej łaskawie dopuszczony przed obliczność autora, zzewnątrz opisany, nie z piersi wydarty, wnętrznie odczuty, i przeto zbywa mu na sile suggestywnej. — Względna mierność tych dwu utworów występuje tem jaskrawiej, że ją dosadnie podkreśla sąsiedztwo trzeciego, pisanego (niestety) dawniej, — p. t. „Sprawiedliwie“. — Jestto najgłębiej poczęte, najspójniej zbudowane, najwspanialsze z dłuższych dzieł autora. — Śmiertelna walka jednostki z tłumem, duszy z instynktowym automatyzmem bestyi zbiorowej, rozgrywa się tu z wielką i świeżą potęgą, pod postaciami katorżnika i gromady wiejskiej, obwijając swe momenty zasadnicze w tło lokalne, traktowane z epickim rozmachem, atletyczną plastyką i czarem nastrojowym typowego krajobrazu. Oddzielne starcia dwu przeciwstawnych żywiołów charakteryzują rozwojowe etapy tego odwiecznego procesu i dążą dośrodkowo do centru fatalnej, ostatecznej katastrofy. — Zemsta indywidualności zgwałconej i urastającej w demona buntu i pożaru, zemsta gromady, wymierzającej doraźną sprawiedliwość na burzycielu jej spokoju, następują po sobie z gwałtowną szybkością i nieuchronnością piorunów, walących w matkę galernika, spiżowy odlew wiejskiej Niobe, zmiażdżonej „sprawiedliwością“ konsekwencyi nieubłaganej, która przypomina Ananke tragedyi greckiej. — Utwór ten, wspaniały kompozycyjnie, wyłania z siebie ten wstrząsający czar rozdzierającego miłosierdzia, które posiadają jedynie dzieła stworzone na dymiących górach ducha.

Poezye prozą, przez St. Przybyszewskiego. — W nieszczęśliwej zaiste chwili przyszedł autorowi czy wydawcy pomysł (równie oklepany jak tytuł) niniejszego pot-pourri, — nieprawdopodobnej sałaty „najpiękniejszych kawałków,“ wydartych całościom, poćwiartowanych, pomieszanych jak bilety loteryjne, zwodzących nowemi tytułami, robiących wrażenie kupieckich próbek lub wzorów frazeolo-

gicznych na użytek bandy grafomanów i snobów. — Dostały się tu również, pod nową okładkę, nieudane autora twory, rzeczy krzykliwe, kwieciste i bez treści, przykre teatralnym patosem i rytmem librettowym, „wydęte ciepłym dymem balony rzekomego natchnienia“ (np. Pamięci Słowackiego). — Dojmujące wprost wrażenie robi podobne, w rzetelnym dotychczas artyście i wrogu banalności niepojęte ustępstwo bezsmakowi handlu, podobnie samowolne, gdyż z punktu Sztuki niczem nieusprawiedliwione kaleczenie własnego dzieła, podobna frymarka własnem słowem i zstępowanie na targ tandety.

Opowiadania prozą, przez Jerzego Żuławskiego. — Jakiś leniwy spleen znużenia (zapewne przejściowego) cechuje te „drobiazgi“, zaniedbane w formie i niedociągnięte w treści, smutne sieroctwem dzieci niekochanych, robiące wrażenie rzeczy stworzonych nie przez wewnętrzną konieczność, lecz przez chłodny zamiar woli,— i swą apatyą zarażające zawiedzionego czytelnika. — Wyraża się to bezsilnością w rozśpiewaniu motywów nierzadko pięknych (np. „Skarga grobów“, „Ś-ty Mikołaj“), — przerywaniem ciekawych i daleko prowadzących procesów myśli (np. „Z domu ojców“),— słabością plastyki i kolorytu, które zostają rozwiewne i szare. — Wszystkie, nawet najlepsze (np. „Modlitwa“, „Po uczcie“), spowija tłumiąca mgła raczej fizycznej melancholii i bierność, zezwalająca na odruchy pisarskie, na banalną aż niekiedy echowość (np. „Biały szczur“). — Nie wątpimy, że są to tylko „hours of idleness“ artysty zkądinąd prawdziwego.

Jego i jej świat, przez Juliusza Zeyera. — Wybór tej powieści, jednej z pomniejszych wśród przepychu dzieł autora, jest typowy dla naszej literatury przekładowej, która, zdobywszy się wreszcie na ofiarę przyjęcia w swe progi prawdziwego mistrza, zaspokaja swe instynkty tandetowe wpuszczaniem go pod możliwie najlichszą postacią. — I, zaiste, nie jest winą tłómacza, jeżeli powieść ta, mimo skromne swoje miejsce na niebotycznej drabinie twórczej czeskiego mistrza, mimo brak późniejszego ostatecznego pogłębienia i wadliwość kompozycyi, przebłyska jednak co chwila wielką, tajemniczo oślepiającą błyskawicą geniuszu twórcy „Jana Maryi Plojhara.“

Cinq-Mars, przez Alfreda hr. de Vigny. — Co do wyboru powyższej powieści jako przedmiotu tłómaczenia, wypadnie nam tylko powtórzyć słowa tyczące się powieści Zeyera, — o instynkcie mierności, pobudzającym warszawskich wydawców i tłómaczów do transponowania na język polski rzeczy drugorzędnych, nawet w obrębie twórczości genialnych, które traf jedynie wprowadza do piśmiennictwa naszego. — I tym razem jednak, jak to miało miejsce w powieści

Zeyera, potęga talentu zwycięża w szczegółach wady całości i nawet bezbrzeżną nędzę przekładu dosłownego, wytwarzającego niejednokrotne absurdy językowe.

Włast.

PODRÓŻOPISARSTWO.

W. Doroszewicz. *Sachalin.* Bibl. dz. wyb. Warszawa. — Jan Grzegorzewski. *Z pod nieba wschodniego.* Tow. wyd. Lwów. — Al. Janowski. *Wycieczki po kraju.* Nakł. autora. Warszawa. — Rudyard Kipling. *Od morza do morza.* Bibl. dz. wyb. Warszawa. — Ks. Antoni Macoszek. *Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim.* Tow. wydawn. Lwów. — M. Serao. *W Ziemi Świętej.* Wyd. Kur. Codz. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Listy z Afryki.* Wyd. Tygodn. Illustr. Warszawa. — Slatin-basza. *Przez Sudan ogniem i mieczem.* Bibl. dz. wyb. Warszawa.

Podróże bywają realne i fantastyczne. Pierwsze za główny warunek mają: chodak do chodzenia i fotograficzny „kodak" do patrzenia. W drugich używa się do latania skrzydeł wyobraźni, a patrzy się przez szkiełka przywidzeń, upodobań i sentymentów zasadniczych oraz ich odcieni i połączeń. Pierwsze trzymają się przestrzeni, czasu i potrzeb odżywiania cielesnej maszyny podróżniczej. Dla drugich te warunki zbyteczne, bo wszystko dzieje się w myśli, dla której

Les plus riches cités, les plus grands paysages,
Jamais ne contenaient l'attrait mystérieux
De ceux que le hasard fait avec les nuages. *)

Literatura podróżnicza realna, jak również i fantastyczna, ma wyrobionych kilka typów, a mianowicie: podróż *naukowa* (ściśle i popularno-), podróż *dla wrażeń* (przygodnych i artystycznych), podróż *humorystyczna* (satyryczna i zabawna) i podróż *pedagogiczna* (moralno-tendencyjna).

Realni autorowie są tak liczni, iż ich spis równałby się spisowi ludności wielkiego miasta i trudno go tu przytaczać. *Fantastyczność*, czyli dziedzina bajek zmyślonych, poezyi, wogóle rzeczy niebywałych, ma przedstawicieli mniej i dlatego możemy ich wymienić. W dziale podróży naukowej: Arystoteles, Laplace, Kopernik, Kant, Flammarion; w dziale podróży dla wrażeń: Homer, Wirgiliusz, Dante, Byron, Goethe, Poe, Słowacki, Krasiński, Balzac, Baudelaire; w dziale podróży humorystycznej: Cervantes, Swift, Lesage, Rabelais,

*) Baudelaire. „Les fleurs du mal."

Voltaire, Sterne, Dickens, Norwid, Lam; w dziale pedagogicznym: Św. Augustyn, Da Foe, Amicis, Krasicki.

Osobny dział podróży realnych stanowią t. z. *przewodniki.* Są to geograficzno - historyczno - gospodarsko - informacyjne książki, zabezpieczające spokojnego turystę od wszelkich niespodzianek wrażeniowych i broniące go we własnych oczach od zarzutu ignorancyi. — „Z tego tu lochu wymknął się Benvenuto Cellini" — mówi przewodnik. Turysta usiłuje wstrzymać oddech, wywołać w sobie poty, towarzyszące silnemu wrażeniu, i przypomnieć sobie podane w przewodniku szczegóły o mitycznym Benvenucie. Potem, spokojny już, idzie dalej. Gdy tak przepodróżował kilka grubych Baedeker'ów, Guide Joanne'ów, lub cieńszych Wörl'ów, jest pewny swego światowego ogładzenia. A jeśli kto potem zawiąże w salonie rozmowę o „Casa del Fauno" i turysta nasz wypowie głosem obojętnym: — „A, znam to, tam byłem..." to przez salon przemknie coś jak westchnienie idące od „Casa del Fauno," że i on, turysta, wycierał tam również swoją banalność...

Wreszcie, *hors concours,* należy wspomnieć o jednym rodzaju opisów podróżniczych, który polega na tem, że dane topograficzne bierze się z przewodnika, estetyczne lub naukowe — z encyklopedyi, a wyrazy uwielbienia, zachwytu, ironii lub rzewności (gdzie którego z tych uczuć zażywać, naucza przewodnik) przepisuje się z odpowiedniego, dostatecznie znanego, poety. Jako przykład tego ostatniego rodzaju, można przytoczyć dzieła podróżnicze Bełzy, cieszące się u nas taką wziętością, jaka jest udziałem Baedecker'a, któremu Bełza oczywiście znaczną część „wzięcia" winien.

Przechodząc do bliższego określenia poszczególnych grup podróżniczych, musimy tu nadmienić, że grup tych w dziale *fantastycznym* charakteryzować nie sposób: zjawiska są tam tak dowolnie pogmatwane, tyle tam form indywidualnych, „niestłumionych," że trzebaby o każdej mówić osobno i układać z nich niemożliwie długą litanię. Dlatego przechodzimy wprost do omawiania podróży realnych.

Podróż naukowa. Są to dyaryusze najazdów na kraje, niezaludnione jeszcze przez kręte, czarne linijki, przez kropki, kółeczka i przez grubsze oraz cieńsze napisy; dalej — wyprawy do różnych biegunów zimnych, gorących i letnich, gdzie główna uwaga zwrócona jest na wysokość lub nizkość, na dodatniość lub ujemność temperatury i inne zjawiska atmosferyczne, już ujarzmione, albo takie, którym się jeszcze do czasu pozwala brykać; tu, wreszcie, trzeba odnieść opisy podróży ziemio-, ludo-, zwierzo- i roślino-znawczych. Poddział tej grupy stanowi *podróż sportowa,* w której podróżnika ob-

chodzi tylko, ile razy pękła guma w pneumatyku, jak często deszcz padał, co porabiają wiatry i czemby tu i gdzie przekąsić? Każdy klub sportowy ma w śmietnikach swoich archiwów tysiące takich aporteryj; bardzo często przedostają się one i do ciemnic szpalt gazeciarskich.

Podróż dla wrażeń. Utwory tej grupy odznaczają się mniejszą lub większą barwnością i żywością zmian zewnętrznych, zależnie od tego, czy autor leniwie czeka na zdarzenia, czy też je wyszukuje sam i to w jak najciekawszym gatunku. Najważniejszym więc tu jest osobisty stosunek autora do opisywanych rzeczy, bo wtedy tylko widzimy te rzeczy w działaniu, a nie w martwocie, jak we wszystkich guide'ach. „Osobistość" stylu polega na tem, żeby światłem własnego ducha oświetlać rzeczy od wewnątrz, a nie siadać na nie i zasłaniać je swoją osobą. Co innego jest, jeżeli Goethe, wobec mozaiki, przedstawiającej bitwę Aleksandra z Daryuszem, powiada: „współcześni i potomność nie starczą, aby to cudo należycie objaśnić; zmuszeni jesteśmy, po objaśnieniach, spostrzeżeniach i badaniach, zawsze nakoniec *do prostego wrócić uwielbienia,"* — a co innego, jeżeli ktoś wobec tej mozaiki powie, że mu się czknęło, albo że mu właśnie odpadł guzik od surduta. To też godziwiej jest czytać podróżnika, co radzi, aby „nie wierząc pierwszemu wrażeniu, starać się wniknąć w zakryte bóstwo," *) niżli takiego, który, przy temże bóstwie, powiada, że mu przypomina ono porcelanę swojską, i idzie dalej. Godziwszy jest ten, co nie uważa faktycznych danych wiedzy i sztuki za cel ostateczny, ale za środek tylko, i, podobnie jak Stendhal (Rome, Naples et Florence), stara się przeniknąć, ożywić i objąć duszę Italii, smętnie pochyloną nad koronami zdetronizowanych filarów, mchem oblekanych przez rzeczywistość i obrzucanych zielskiem. **)

Podróż humorystyczna. Podróżnik, pisujący do tej grupy, albo wszystko sam widzi w kolorach zabawnych, i niekiedy snadnie z nim możemy się uśmiać, albo też wymaga śmiesznego zachowania

*) Słowa J. I. Kraszewskiego o herkulańskiej Minerwie. Por. „Kartki z podróży."

**) Tych podróżników realnych, którzy ścigają nierealne widma, wyłaniające się z wszechrzeczy, trzeba zaliczać również do wędrowców fantastycznych. Do takich, prócz Kraszewskiego, możemy odnieść jeszcze: Seweryna Goszczyńskiego (Dziennik z podróży do Tatrów), Ignacego Hołowińskiego (Pielgrzymka do Ziemi Świętej), który kochał dzieje bajeczne i pod Nazaretem doszukiwał się duchów poległych rycerzy Saraceńskich, Józefa Kremera, któremu się *anima rerum* częstokrotnie wymyka, Kazimierza Chłędowskiego (Szkice z Włoch, Alpy), który odrzucając drobiazgi, zwłaszcza bieżące, zawsze czujny jest na poezyę, na podania, na wspomnienia i tym podobne *nierealności*, Antoniego Ed. Odyńca (Listy z podróży), który niewidzialnemi siećmi chwyta promieniującą duszę Mickiewicza, też jednego z fantastycznych latawców po obłokach.

się od bezdusznej rzeczy, a wtedy jest niedorzeczny, bo wykręca, niedość podług niego zabawną rzecz tak, że ta zaczyna wreszcie płakać, a conajmniej, nudzić.*)

Podróż *pedagogiczna* (czyli tendencyjna). Do tej grupy w dziale *realnym,* należą książki ze wszystkich innych grup (i fantastycznych), odpowiednio zoperowane ad usum infantium, czyli dla szkół średnich, dla pensyonarek, dla grzecznej młodzieży na podarunki gwiazdkowe, i, wogóle, w celu hodowania sztucznej niewinności dla użytku obywatelskiego.

To też, gdy niewinność sama zostanie obywatelem i chce popełnić jaki opis podróży, daje nam rzecz zacną ale bezdarną. Oto, naprzykład, *Slatin - basza,* gubernator Darfuru, opisał pobyt swój w Abissynii w latach 1878 - 1895. Do opisu tego wybrał sobie basza styl autentyczny, wiarogodny i bezosobisty, styl, który polega na bezładnem nagromadzaniu szczegółów rozmaitej wartości i miary, na dorywczem zatrącaniu o wypadki dlatego tylko, że one *były,* że są *rzeczywiste* i że, gdziekolwiek, jakkolwiek i kiedykolwiek ich użyć, zawsze by powinny mieć znaczenie, — styl, wreszcie, nacechowany zupełną nieobecnością obrazowania i układu. Z szarości powiedzeń ogólnych i z sumarycznego zaznaczania wyników, naraz wyskakuje drobiazg bardzo szczegółowy, odosobniony, ale najzupełniej obojętny. Bywa to na krajobrazie fotograficznym, gdzie tło panoramy górskiej szpecą, naprzykład, dwie *prawdziwe* litery ogłoszenia o nowym koniaku. W takim przewlekłym, znagła drobnostkowym toku opowiadania grzebie się czytelnik nieszczęsny, grzebie się, jak mucha w porządnem, solidnie na pożytek rozczynionem cieście. Książka tak napisana może mieć wagę jako sprawozdanie pół-urzędowej gazety dla ludzi *realnych,* porządnych, nielubiących „bajek"; ale, jeśli się nie jest łowcą „realności," jeno marnotrawnym próżniakiem, to „Przez Sudan" przechodzi się nie „ogniem i mieczem," wbrew tytułowi, ale ziewaniem i ułaskawianiem licznych kartek od cięcia.

U *Sienkiewicza,* autora podobnegoż tytułu i wędrowca po tejże afrykańskiej krainie, znajdujemy opis przygód, uboższy w treść, ale, natomiast, nieskończenie wyższy formą bardzo osobistą, wyższy umiejętnem sharmonizowaniem tonów i bogactwem porównań, które kładą nam rzecz przed oczy, mówiąc — patrzcie. Jakoż patrzymy, uradowani, że bez opłacenia biletu rzecz tę możemy oglądać lepiej niż sam autor,

*) U nas, równie wyspecyalizowanych podróżników humorystycznych niema, prócz może Juliana Horaina, którego humor zatrąca amerykanizmem. Dużo humoru miał włóczęga Pasek, dużo go ma Sienkiewicz w swoich szkicach podróżnych z Ameryki.

bo on widzi ją w świetle zmiennem, a my tylko w tem jednem, wybranem przez niego olśnieniu. Uradowanie nasze rośnie, gdy znajdujemy tu i witamy, jak dobrych znajomych z pod Zbaraża, „ogromnie“ smutne „wielkie westchnienia,“ gdy czytamy warszawski dowcip na temat robienia z „miss“—„misseczki“ (co możebne tylko w mieście tak sławnem z niewinności jak Warszawa); a gdy natrafiamy na wyrażenie „o rety!“, sami, jak echo, z przejęciem, powtarzamy po swojsku „o rety!“ Wogóle, wdzięczni jesteśmy autorowi, że ciągle nam tę swojskość stawia przed oczy. Gdy zagapimy się na „liany tworzące pozór kotar nad dziurami w świątyni leśnej,“ autor w porę przypomni, że i „nam“ też gdzieś tam rośnie „choinka,“ taka poczciwa i taka „zakopiańska;“ choć w Zanzibarze, w okolicach Wami, może być sobie góra M'Pongwe, ale ona przypomina „naszą“ poczciwą Gubałówkę „zakopiańską;“ gdy jesteśmy zapatrzeni w morze, autor napomknie nam, że nietylko ludzie chorzy na skutki morskiej choroby mogą mówić „raz kozie śmierć,“ ale to samo potrafi i „mój Bartek z pod Gravelotte;“ gdy przejeżdżamy koło latarń na morzu Czerwonem, zmuszeni jesteśmy przez autora przypomnieć sobie, że i „my“ mamy swego, „naszego Latarnika,“ urodzonego z tegoż autora; wogóle, mogą sobie tam w Afryce żyć „dzieciska,“ jak „pchełki“ murzyńskie bez żadnego dogmatu, prócz wiary w kokosowe mleko, ale i my mamy swoje polskie, a nawet jeszcze bliższe, bo warszawskie „Bez dogmatu,“ które jest dla nas dogmatem, bo go nawet na dalekich lądach nie możemy zapomnieć. — Dzięki takiemu to stylowi, doczytujemy książkę gorączkowo. Ale przychodzi nagły koniec, niby świt egzotyczny, i wrażenie nasze pierzcha, podobne nocy podzwrotnikowej, którą, według pięknego wyrażenia autora, wiatr, co przyszedł, jednem zwiewa tchnieniem. I choć słodka jest podróż, bo „przyjechawszy, naprzykład do Adenu, znajduje się na poczciwej „poste-restante“ listy czekające z Zakopanego,“ to jednak surowy obowiązek każe nam — że znów użyjemy słowa autora — „pyrgać“ dalej. Z żalem musimy opuścić i to morze Czerwone, które „tem się odznacza, że jest zielone;“ — i ten parowiec, którego „okrągłe okna świecą, jakby z pod równika wiózł tuzin słońc na sprzedaż do zimnych krajów;“ — i ten szlak piany morskiej, „ciągnący się za okrętem, jak za duszą ludzką nić (krucha!) pamięci.“

„Pyrgamy“ aż na „Sachalin“ *W. Doroszewicza.* Dla pociechy, pragnęlibyśmy rozejrzeć się w tej ciekawej miejscowości z przylądkami Cierpienia i zatokami Rozpaczy, ale cóż, kiedy wszystko nam zasłania bezosobista osóbka autora, zanadto nas bawiąca, abyśmy mogli na cokolwiek innego patrzeć. P. Doroszewicz, łyknąwszy coś-

nie-coś z różnych autorów, jak: Dostojewskij i Łombrozo, Wictor Jugo i Aleksandr Diuma fis, Ponson diu Terraj i Dant, postanowił „politeraturniczat'." Jakoż, stylem średnio zarabiającego reportera, namalował szereg obrazków w rodzaju takim.

Opis włóczęgi: „...Zowią go Iwanem. — Ojca, matki nie pamięta. — Pieniędzy przy duszy — jedna kopiejka. — Na Sachalinie czeka go chłosta — 30 uderzeń. — Ecce homo. — Oto homo sapiens. — Kopiejka jedna i 30 uderzeń!" (Co za fatalność liczbowa!)

Krajobraz: „...Dzień. — Mglisty, szary. — Szaro, szaro. — Coś boli w sercu. — Co? — Brzęk kajdan. — Straszno. — Noc. — Zrobiło się cieplej. — Ciężko." (Po zjedzeniu odpowiedniej porcyi kotletów i wypiciu stosownej ilości porteru.)

Dola więźnia: „...Ot, biedny! — Kochał. — Zabił. — Sąd. — Kara. — Coś w sercu boli. — Co?"

Matkobójczyni: „...Damie dziecko sprzykrzyło się. — Udusiła je. — Cukierek!"

Oczytany autor, w różnych Choroszkach, płaczących po upadłych Paraszkach, koniecznie chce widzieć Armandów Duval'ów i Małgorzaty Gauthier. Przy sposobności wspomina, że widział w tej roli (Małgorzaty) Duze i że grała — no! Porównanie o piekle Dantejskiem znajdujemy też parę razy, to porównanie, które stało się już przechodnią bramą dla reporterów. O całym tym stylu można powiedzieć, że ot — pióro się powinęło i samo zrobiło jakiś taki zygzak, niezależny od piszącego, który autorstwo swe zawdzięcza tej okoliczności, iż czytał kilku autorów i obznajmiony jest ze środkami i celami reporteryi współczesnej. Sam p. Doroszewicz może być sobie najpoczciwszym zresztą obywatelem i urzędnikiem. Książkę „zdobią" *prawdziwe* klisze z *prawdziwych* fotografij, zdjętych z *prawdziwych* zbrodniarzy.

Do grupy wrażeniowców osobowych *realnych* należy też *R. Kipling*. Posiada on jednak zbyt dużo anglizowanego heinizmu, abyśmy go nie mogli zaliczyć w części do humorystów. Dowcipy jego są jak gdyby już gdzieś słyszane (np. „Na zreformowanie świata potrzeba więcej niż rok." „Opatrzność opiekuje się tymi, którzy sami sobą zaopiekować się nie potrafią.") Prócz tego, p. Rudyard razi swojem natręctwem cywilizatorskich apetytów z jednej strony, a z drugiej powiedzeniem takiej rzeczy nieangielskiej i niekulturalnej: „Dzienniki wmawiają w czytelników językiem, zastosowanym do ich pojęć, że rozpinanie drutów telegraficznych, budowanie domów i robienie majątków, jest postępem." A my, w Warszawie, którzyśmy tak na Kiplinga „polecieli," aniśmy wie-

dzieli, że on może takie bluźnierstwa głosić! Pal sześć! Wybaczamy mu to, jak również i to, że sercem świata nazywa Londyn, (biedny! — nie był w Warszawie!) i wędrujemy tam, gdzie birmańskie dziewczęta z bursztynu i migdałów śmieją się do słońca; gdzie są miasta zamieszkałe przez dzieci, spacerujące po jasnych ulicach gromadkami, spowitemi w jedno niewinne grono nagusków długą szarfą jedwabną (Nagasaki); gdzie palą się fajeczki na dwa pociągnięcia; gdzie świętuje się kwitnienie brzoskwiń, złocieni i wiśni; pojedziemy i tam, gdzie są mosty, któreby runęły, gdyby ich nie powstrzymywały lękliwe spojrzenia podróżnych, i gdzie pokłady łupku, w spiętrzonych skałach, wiszą, milczące i nieruchome, jakby się obawiały ześlizgnąć; zobaczymy i filistra wzdychającego nad marnotrawstwem gorącej wody gejzerowej w Yellowstone-Parku, i nakoniec, ujrzymy apoteozę: zarzynania świń i wychodzenia za mąż mądrych panien amerykańskich, które podobno umieją rozmawiać i nawet myśleć.

Dlaczego niektórzy podróżnicy, jak p. *Grzegorzewski,* koniecznie chcą w tytule książki wzmiankować o niebie („Z pod nieba wschodniego"), skoro mówią o rzeczach bardzo ziemskich, jak naprzykład o obdzieraniu wilka żywcem ze skóry przez Mongołów, co nawet raczej przypomina piekło? Poza tem, p. Grzegorzewskiemu, prócz niejakiej ciężkości stylu, objuczonego nieraz nadmierną ilością dopełnień, dopowiedzeń i określeń, zarzucić można zbytni pedagogiczny autochtonizm. Tyle w jego nowelach wyrazów, zwrotów i całych zdań w języku tubylczym, jakby autorowi chodziło, żebyśmy się tych nowel nauczyli na pamięć, jak wokabułów. Ta pogoń za folklorem w noweli zdradza obawę autora, iż bez fotograficznej szaty zewnętrznej, ludzi jego nie byłoby widać. Dosypmy jeszcze drugie tyle różnych „bidan'ów," „hazret'ów," „chanekah'ów," a „Babkę Tamerlana" będzie można zaliczyć do literatury bucharskiej. Tembardziej to razi, że w tymże zbiorku znajdujemy inne nowele, które na nieobecności tubylczego języka nie tracą.

Do zupełnie pedagogicznego rodzaju należy odnieść sposób pisania *M. Serao,* która swój, na szczęście bardzo cienki, opis podróży do Ziemi Świętej przepełniła ciągłemi pobudzaniami siebie i czytelnika do pobożności. Atoli cóż wskóra duch mocny, kiedy mdłe ciało p. Serao, co rusz, coś z pobożnego nastroju wypłasza: to „swąd" i „trywialność" kolei oraz jej „bezwzględny, brutalny pośpiech," to żydzi spoceni i „niepachnący," to konieczność zjedzenia obiadu i wypicia herbaty, „jak w Monte Carlo". Rozumie się, że, wobec tego, „o, jakże więdną kwiaty poezyi!" Autorka żali się na to na

kilku stronicach. A tu jeszcze na pokuszenie duszy p. Matyldy, zesłał szatan beduinów, tak „ślicznych,“ że znowu trzeba im kilka stron poświęcić. Autorka, mówiąc o nich, porusza całą klawiaturę dostępnych jej ogólników: beduin ma i wdzięk, i czar, i urok, i powab. Kiedy ten śliczny i prześliczny, cudny i przecudny, piękny i przepiękny „sais“, wdrapawszy się za szylinga na piramidę i zlazłszy z niej, w ciągu niespełna minut dziesięciu, wychyla z pod przepięknego burnusa „prześliczną“ rękę, p. Matylda, przezachwycona, daje mu pieniądz i pyta z płomiennym wzrokiem, czegoby jeszcze żądał. Dumny beduin — hélas! — niczego już od p. Matyldy nie żądał, prócz, żeby go zawsze nazywała „dzielnym Mohamedem“. Krajobrazy pobożnej p. Matyldzie też przeszkadzają, a gorzej jeszcze czytelnikowi, bo są albo „urocze,“ albo „przepyszne,“ naprzemian: jeżeli jeden miał „uroki,“ to następny będzie miał już tylko „pyszności;“ są to jedyne urozmaicenia stylowe p. Matyldy. Tłumaczka, p. A. Morzkowska, zamiast dobrze przekładać lichotę rozreklamowanej przez gazety modnej autorki, lepiejby zrobiła, przepisawszy i wydawszy kawałek „Pielgrzymki do Ziemi Świętej“ Ignacego Hołowińskiego, któremu kolej nie psuła jeszcze nastroju. Zaiste, lepiej wyglądała Ziemia Święta za niego lub za Chateaubriand'a i Lamartine'a, niż wygląda za Serao.

Przewodnik p. *Al. Janowskiego* stanowi rzecz, po części oryginalną, po części uzupełnioną wstawkami i cytatami z autorów, znanych ze swych prac krajoznawczych (O. Kolberg, W. Nałkowski, M. Wawrzeniecki i inni). Zamiast przedmowy do 2-go wydania, znajdujemy tu obrazek S. Żeromskiego przedstawiający „szkołę“ z jakiejś wioski szwajcarskiej, gdy na statku, mijając piękną i wielką Grütli, śpiewają: „Vom ferne sei herzlich gegrüsset...“ Książka obejmuje geograficzno-historyczne dane o Kieleckiem i Radomskiem, oraz praktyczne wskazówki do wycieczek po tych ziemiach. Zewnętrzna forma wydania (format, druk, układ) bardzo brzydka; zresztą i wewnętrznej szkodzi kompilacyjność i brak takich, zdaje się, ważnych rzeczy, jak planiki, choćby odręczne, Kielc i Radomia, jeżeli „Wycieczki“ mają być przewodnikiem, zachęcającym do zwiedzania tych grodów, i jeżeli z wycieczkowiczem niema stać się to, co z owym anglikiem, o którym autor opowiada, że słysząc, jakoby Chęciny były miastem z marmuru, przyjechał, spojrzał — i w tej chwili odjechał z powrotem, zatkawszy nozdrza.

Od broszurki p. Al. Janowskiego rażąco odbija ***Ks. Antoniego Macoszka*** „Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim“. Wyróżniają go zupełne opanowanie i jednolite oświetlenie materyału, ładne odbitki widoków śląskich, typów, wyrobów ludowych, planów i map, nader

starannnych, uwzględnienie działu adresowego, zwartość druku i zręczność formatu.

J. L.

VARIA.

Heliograwiurowa reprodukcya Burne-Jones'a *(„Król Kofetua i dziewczę żebracze")*, którą do zeszytu niniejszego dołączamy, została wykonaną podług wielkiej heliograwiury (67×29½) *„Berlińskiego Towarzystwa Fotograficznego."* Towarzystwo to, uzyskawszy wyłączne prawo reprodukcyi obrazów Burne-Jones'a, wywiązuje się ze swego zadania doskonale, bo w świetnych bez zarzutu heliograwiurach reprodukuje prawie całą wybitniejszą spuściznę po mistrzu. Na wspaniałe albumowe dzieło o Burne-Jones'ie, jakie wyszło nakładem tejże firmy składa się 90 fotograwiur wielkiego formatu (67×51) oraz znany portret Burne-Jones'a pędzla *Watts'a*. — Bezinteresownej uprzejmości „Berl. Tow. Fot." zawdzięczamy możność wykonania naszej reprodukcyi.

Poemat Zeyera *(„Król Kofetua")* **i obraz Burne-Jones'a** *(„Król Kofetua i dziewczę żebracze")* stanowią dwa tak wybornie harmonizujące i tak się wzajemnie dopełniające akordy, że nie mogliśmy się oprzeć pokusie, aby ich nie skojarzyć, w jedną melodyę nie powiązać i nie dać czytelnikowi tem doskonalszej możności ukołysania się tą błękitną baśnią o Królu Kofetui, tym nigdy niewyśnionym snem tęsknoty. — Przedrukowując „Króla Kofetuę" z polskiego „Wyboru pism Zeyera" czynimy to — raz dla upamiętnienia pierwszej rocznicy jego śmierci, a powtóre — dlatego, iż utwór ten uważamy za jedną z najlepszych rzeczy Zeyera. Tekst przyozdobił specyalnemi rysunkami i inicyałami Edward Okuń.

Ralph Waldo Emerson Amerykanin z pochodzenia, pastor unitaryański z zawodu, wielki mistrz *essay*'u, pokrewny duchem seigneur'owi de Montaigne, który był mu nauczycielem i wzorem. Lubuje się w wysłowieniu codziennem, w okresach pełnych, potoczystych i jasnych, których niepodobna „rozciąć, bo spłyną krwią, tyle w nich żywotności i naczyń krwionośnych..." Osią i rdzeniem jego poglądów filozoficznych jest sceptycyzm, stanowiący dlań ogniwo, pośrednie między idealizmem a materyalizmem. „Już mnie znużyli — powiada o sobie — dogmatu obrońcy, lecz i wszyscy frazesowicze, którzy temu dogmatowi przeczą. Nie twierdzę ani nie przeczę. Jestem po to, aby zbadać dany wypadek. Chcę

badać, σκέπτειν, badać, jak jest." Wpada miejscami w ton kaznodziejski, bywa rozwlekły, ciasny i oziębły, lecz nie zna kompromisów, nigdy nie schodzi na bagna pospolitości, nie schlebia tłumom i nie korzy się przed „półświatkiem ducha." „Reprezentantami ludzkości" są dlań natury heroiczne, szczytne i samodzielnego pokroju: „filozofa Platona," „mistyka Swedenborga," „sceptyka Montaigne'a," „poety Szekspira," „człowieka uniwersalnego Napoleona" i „pisarza Goethego." Dla ciżby, co wiecznie przewala się w pogoni za zyskiem i użyciem, ma „przebaczenia anielską pogardę" i miłość, która nie zstępuje do maluczkich, lecz stara się ich dźwignąć i podnieść ku sobie. Ta duchowa szczytność mści się na nim boleśnie. Musi zerwać z współwyznawcami, usuwa się na wieś przed napaściami swych przeciwników, przez całe życie jest ciemną zagadką dla rodziny i najbliższych przyjaciół. Z czasem treść jego myśli wchłaniają w siebie wszystkie kultury wyższe. Zwłaszcza na kraje anglo-saskie wywiera wpływ ogromny. Z prac angielskich i amerykańskich o Emersonie możnaby już utworzyć wcale pokaźną bibliotekę. Z pomiędzy francuzów, Maeterlinck w niejednem zapożycza się u niego. Z Nietzschem zgadza się niekiedy wprost zdumiewająco w dążeniach i poglądach, lecz naogół nie dorównywa mu w jasnowidzeniu psychologicznem, oraz czarodziejstwie artyzmu, jest o wiele oschlejszy i płytszy. *Ne te quaesiveris extra.* W tych słowach, umieszczonych na czele doskonałego jego *essay*'u o „Samodzielności" tają się, jak w zawiązku, najistotniejsze znamiona całej jego twórczości. Rzeczywiście, nigdy nie szukał siebie poza sobą.

Pomnik Baudelaire'a. W październiku został odsłonięty w Paryżu, na cmentarzu Montparnasse, pomnik ku uczczeniu pamięci Karola Baudelaire'a. Pomnik, wykonany przez młodego rzeźbiarza, M. José de Charmoy, wyobraża poetę leżącego na głazie mogilnym; nad nim się wznosi, w głowach, alegoryczna postać *Myśli* z granitu. Niedużo lat upłynęło od zgonu twórcy *(magnus parens)* nowej poezyi, a już pomnik! Francuzi wcześniej obdarzają pomnikami swoich wielkich ludzi, nie potrzeba im na to wieków i dodatkowych okoliczności społecznych. Snadź łatwiej im ocenić poezyę („qui n'as pas d'autre but qu'elle-même"), jako bliższym zachodu, czyli dekadencyi słońca. Tam też widać tylko mogli się znaleźć rodzice tak zepsuci, że *sami chcieli* syna wykierować i wykierowali na poetę, i to na poetę, który jadł haszysz, palił opium i stworzył „Kwiaty zła," wzgardziwszy (o dekadencyo!) kwiatami dóbr filistyńskich („Je hais l'or comme vous haïssez Dieu!")

CHIMERA.

Nieporozumienie, bajka.

Zaprawdę, opłakany
los bajkopisarza!
Gdy mu zwierz jaki milszy —
człowiek się obraża:

zaś kiedy synów ludzkich
stawia za wzór zwierzom, —
czworonogi nań kwiczą
i szczecinę jeżą.

Był bajkopis, co bydło
kpał i kopał trutnie,
i co z tego wynikło,
tu opowiem smutnie.

Świnia, Osieł i Pies — trzy
społecznie sklepane
ogniwa dobrobytu —
przyszły dać naganę

onemu bajkotwórcy
za to, że pokpiwa
sobie z nich, tudzież z obór,
powagi i chlewa.

Przyszły do bajkopisa
niesforne, nie w rzędzie
stanąwszy, i zaczęła
tak Świnia orędzie:

— Dość tego dydaktyzmu,
wspartego na błędzie,
że świnia jest czemś gorszem!
Tak dłużej nie będzie!

Rzekł już dziś pewien doktór,
zły na ludzki nierząd:
„dzieci winny się uczyć
zwyczajów u zwierząt!

nie trzeba młodych *chować*
w dekadenckiej wierze,
bo ten jest zwyrodniały,
kto przestał być zwierzem,

kto zwierzęce do kąta
rzuca abecadło,
którem jest: walka o byt,
chlew, koryto, sadło!“...

Mówią na świnię „świnia.“
Kto? — panowie tłuści.
Żeśmy nieobyczajne...
Oui, oui, oui *— a juści!*

Ja — co kwartał, najwyżej
dwa — raz miewam ruję,
a człowiek? — zawsze, codzień,
gdy operetkuje.

Rzecz prosta, jeśli w grzbiecie
ma dostatnio mlecza,
lub gdy go wiek, brat, albo
mąż nie okalecza!

Robić ruję wciąż — z własną,
z cudzą — byle żoną, —
gdzież to, jak nie u ludzi
to wynaleziono!

Na to wcale nie trzeba
dekadencyo-mistrza:
ot — zwykły mydłek cudze
żony „ofilistrza.“

Choć ja nic nie czytuję
(ktoby tam tem głupstwem
psuł oczy), lecz tryb życia
taki zwę — porubstwem.

A parobstwem zwąc twoje
na trzodę napaści
w bajkach, pozwól, że'ć gryznę
po łydkach... ot — naści! —

Za Świnią zaraz Osieł —
postać szara, krępa,
wykroczyła do rzeczy
i tak rzekła stępa:

— Szanowny bajkopisie,
bardzo się pan myli,
żebyśmy my, osłowie,
gorsi od was byli.

Moralność, ład, porządek
i — choć słuchać przykro'ć —
zdrowie, zdrowie i zdrowie —
powtarzam potrzykroć: —

oto są cechy zwierząt.
Zwierz zaczął być chory,
odkąd się uspołecznił
i poznał doktory.

Ci wnet rozkładowego
szukają czynnika
w zwierzu, co, zamiast orać,
bawi się w słowika.

„Instynkt do dekadencyi"
jest niemiły osłom —
prawda, lecz i doktorom:
trzebić — ich rzemiosło.

Więc żeś na mnie ujadnął
i stworzył ramotkę,
poznaj moje kopyta...
Ot masz... masz... co? słodkie?—

Tu Pies się wysforował
z sfory (lub wysmyczył
z smyczy) i rzekł: — Ja z tobą
tak się będę liczył.

Prawdą jest, że pies nosem
czuję duszę nagą
i gryźć rad (chyba dusza
naga chodzi z lagą);

ale kto się wciąż raczy
starem sztuka-mięchem,
temu wszędzie ścierw zgniłych
stoi woń przed węchem.

Prawa patrzą w naturę
wszechrzeczy, a ta — w nie:
chcesz-li, bym postępował
względem praw nieprawnie?..

Nadto jam — toć wiadomo —
od panów zawisły:
każą — „pesymistyczne"
w duszy *znajdę „zmysły"!*

Tu inni, proszę panka,
byli tutaj czynni:
kowale zawinili,
a na mnie naganka.

Do psów na psy wieszania
byłbyś nie tak chwacki,
gdybyś czytał codzienny
„przegląd literacki".

Adaś, Władzio, Walery,
Henryk, Piotr, Teodor —
ci trapią dekadentyzm,
wszędzie czuć ich odór:

„nowe dreszcze“, „nastroje“,
„histerya“, „kapliczki“,
„satyriasis“, „porubstwo“, —
entliczki, pentliczki!..

Wobec takich dogryzań,
cóż szczekanie pieskie,
psine, psiane czy psowe...
(nie uczył mnie Jeske

zasad pisania liter
ni praw gramatyki)...
Otóż, za twe niesłuszne
na mnie filipiki,

choć ridendo castigat,
lecz za twój „jęzores“
wybacz, że'ć „skastiguję“
coś-nie-coś... Znaj mores! —

— Oui, oui! — *chrząknęła Świnia.*
— *Tak!* — *ryknął* asinus: —
kto broni dekadencyi,
ten ma w brzuchu minus.

— Hau, hau! — *Pies szczeknął,*
co mową ojczystą,
psią, znaczy „bij“ (Pies z młodu
służył hakatystom).

Zaś autor postanowił
wyjechać do Azyi,
albo nie pisać bajek...
do pierwszej okazyi.

Jan Lemański.

„Szczery, poważny dekadentyzm“ i „fujarka z wierzbiny.“ Opłakane, zaiste, tryumfy święci w ciemnogrodzie warszawskim majestatyczna poezya Kasprowicza. Ze strony sławetnego cechu zoilów kurjerkowych rozpisał się o niej *unverwüstlich mittelmässig* p. Walery Gostomski. Jako znawca poezyi „zachowawczy i arcychrześciański,“ wykrył oczywiście w tych „nastrojach duchowych, pełnych zwątpień i pessymizmu, wstrząsanych szalonemi wybuchami zmysłowości,“ nader podejrzany podkład „dekadentyzmu.“ Atoli po dokładniejszem zbadaniu przekonał się, że ten „dekadentyzm“ jest „szczery i poważny,“ więc nakleił na nim etykietę z ostrzeżeniem: *venenum!* i, potrząsłszy melancholijnie głową, zalecił go w niewielkich dawkach do użytku wyjałowionych doszczętnie dusz gawiedzi kurjerkowej. O wiele „modernistyczniej,“ to znaczy pretensyonalniej i krzykliwiej rozprawił się z poetą redaktor spowitego w zieleń ***Ateneum,*** p. Cezary Jellenta. P. Gostomski jeszcze hołduje staroświeckiemu narowowi czytania książek, o których pisze, miewa nawet chwilami niejasne przeczucie królewskiej krasy przelewającej się szczodrze z dytyrambów Kasprowicza. P. Jellenta te zmurszałe tradycye lekce sobie waży:

utworów, nawiedzanych przez swe samozwańcze widzimisię pseudokrytyczne, wcale snadź nie czyta, a jeśli czyta, to zgoła nie stara się odczuć lub zrozumieć. Bynajmniej nie zamyślamy wdawać się w obszerniejszy rozbiór barokowej gmatwaniny wywodów, zmierzających rzekomo do wykazania, iż hymny Kasprowicza są „monotonne i nienatchnione,“ że poeta „wygrał tragedyę Ginącego Świata fujarką z wierzbiny“ (po polsku: *na fujarce!)*. Dla przykładu wytkniemy jeno parę szczegółów jaskrawszych. Zaraz na wstępie, o Duszy wygnanej z raju, zmagającej się nadludzko z Lucyferem na Wzgórzu Śmierci, utrzymuje p. Jellenta, iż w „jego (t. j. Lucyfera) miłości spodziewa się ona *znaleźć* bytu świadomość,“ gdy tymczasem w samym poemacie (szósty wiersz od końca) powiedziano wyraźnie, iż tę świadomość pragnie *utracić*. Nieco dalej p. Jellenta przytacza wiersze:

Jakaż to orgia dzika!
Jakiż to chaos mąk! —

i z rozdzierającą naiwnością (chcemy wierzyć, że nieudaną) rozumuje:

> „Więc czy orgia, czy chaos mąk? Lecz przecie orgii w tej chwili — w chwili sądu — być nie może, gdyż są już tylko potępieńcy, idący na piekielne męki. Więc owa orgia dzika jest pustym frazesem, mającym może wyrażać orgię mąk?“

Gdzieindziej dopomaga sobie zwykłym kruczkiem, nielicującym zgoła z bezstronnością prawej krytyki. Z poematu *Święty Boże* wyrywa dwa wiersze:

O Boże!
O Mocny!

pomija dwa wiersze następne:

Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód! —

i, nie zaznaczywszy nawet, że wogóle istnieją, bezpośrednio dopisuje:

Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.

Poczem na podstawie tego pomysłowego fortelu chciałby wmówić w czytelnika, że w tem „dwuznacznem“ przejściu słyszy się: O Boże, mocny jak bedłki. I t. d., i t. d., a zawsze *sans génie et sans esprit.*

I p. Jelenta jeszcze sobie pochlebia, że „sprawia znakomitemu poecie przykrość, ale wie, że mu wymierza sprawiedliwość“! *).

Komitet opiekuńczy warszawskiej szkoły sztuk pięknych, uzyskawszy dla listy swych członków zatwierdzenie władzy właściwej, zajął się podobno niezwłocznie poszukiwaniem odpowiedniego dla nowej instytucyi pomieszczenia, oraz wyborem i zaproszeniem całego grona kierowników artystycznych. Z dwu tych spraw „węgielnych,“ pierwsza jest stosunkowo mniejszej wagi, jako — według wszelkiego prawdopodobieństwa — prowizoryczna tylko. Nie wątpimy bowiem, iż, po jakimś roku czy dwóch obiecującego funkcyonowania, szkoła znajdzie chętnych mecenasów, którzy dopomogą jej do wzniesienia wygodnego gmachu własnego. Zacząć zaś można choćby od nader skromnego, byle dobrze oświetlonego lokalu. Druga sprawa natomiast pierwszorzędne ma znaczenie dla *całego przyszłego rozwoju* instytucyi — i komitet po dwakroć tutaj przed każdą decyzyą zastanowić się winien. Pierwszy komplet kierowników artystycznych nada szkole odrazu pewną wyraźną, taką czy inną, cechę, a ponieważ uzupełnianie dalsze ciała nauczycielskiego odbywać się ma już „na zasadzie opinii rady pedagogicznej,“ czyli tychże pierwszych kierowników artystycznych, — wszelka więc modyfikacya tonu, gdyby okazała się potrzebną, może później bardzo być utrudniona. Od doboru pierwszych kierowników — pisaliśmy już przed kilku miesiącami — zależy przyszłość szkoły, kulturalne jej znaczenie i nieoczekiwany może rozwój. Dla tego, za tę elekcyę podstawową wielka na komitecie opiekuńczym cięży odpowiedzialność.

Warszawska szkoła sztuk pięknych otrzymała statut bardzo piękny i szeroki. Ma ona nietylko „kształcić artystów,“ lecz wogóle „przyczyniać się do rozwoju artystycznego ludności miejscowej,“ czyli, mówiąc innemi słowy, do podniesienia kultury estetycznej; wolno jej otworzyć szkolę przygotowawczą oraz niedzielne klasy rysunkowe, ogłaszać konkursy, urządzać wystawy publiczne, równie i uczniowskich, jak i ogólne, kompletować bibliotekę i muzeum, przyjmować wreszcie zamówienia na prace artystyczne i artystyczno-przemysłowe. Sama rozległość i rozliczność tych zadań, ciążących

---

*) „Bezstronność“ i „powagę“ tej, zaiste, ***sui generis*** krytyki podziwiał i wychwalał inny znowu „sumienny krytyk,“ podpisujący się w *Kurj. Warsz.* godłem X czyli niewiadomo co. Czuć w tym trafnym aplauzie, obok zwykłej dobrej wiary *Kurjera,* chwalebny wysiłek p. X-a, aby sprostać Ostrowidzowi, temu wielkiemu rybitwie wszelakich nędz lub mierności i nieutrudzonemu ich wysławiaczowi.

na gronie artystycznych kierowników instytucyi, wskazuje wyraźnie, jakim wyjątkowo szerokim winni oni odpowiadać wymaganiom. Muszą to być nietylko doskonali, pełni talentu i umiejętności w swoim zakresie, lecz nadto *nader kulturalni* artyści, którzy dużo widzieli, dużo przemyśleli, dużo odczuli i wyrobili sobie smak pewny oraz sąd szeroki *). Muszą to być, dalej, ludzie zrównoważeni artystycznie, obcy i sztywno-akademickim ciasnotom, i niemniej ciasnym rozwichrzeniom nowatorskim, nieznający żadnych „kierunków,“ lecz jedną, niezmienną sztukę, umiejący odczuć i zrozumieć wszystkie *istotne,* chociażby na pozór biegunowo sprzeczne indywidualności twórcze, zarówno pośród mistrzów stawianych za wzór uczniom, jak pośród uczniów samych. Muszą to, wreszcie być prawi, szczerzy, prości, pełni cichego, niekrzykliwego, lecz tem gorętszego zapału, czciciele sztuki, zdolni przykładem własnym wszczepiać w młodzież uczącą się wstręt do wszelkich fanfaronad, pozerstw, kabotynizmów, oraz bezgraniczne, poważne, bezinteresowne oddanie swemu powołaniu.

Wymagania wielkie. Na szczęście atoli, nie brak ludzi mogących godnie im odpowiedzieć. Ze starszego pokolenia — Chełmoński, Malczewski, z następnej generacyi — Dębicki, Pankiewicz, Ślewiński, z dzisiejszych — Pieńkowski, Ruszczyc, Tichy, — oto materyał na wspaniałe grono kierowników, jakiem najpierwsza w świecie akademia sztuki słusznie chlubićby się mogła. Na większość wymienionych artystów komitet sam już zapewne zwrócił uwagę, o niektórych wszakże wzmianka dopiero niniejsza przypomnieniem snadź będzie potrzebnem. Artyści nasi rozrzuceni są po świecie; nadto, najlepsi właśnie unikają zazwyczaj zgiełku reklam dziennikarskich. Skutkiem tego najpoważniejsze imię ujść może niekiedy baczności niedość wytrwałej. Za obowiązek swój uważamy położyć nacisk specyalny na konieczność pozyskania dla szkoły warszawskiej trzech zwłaszcza artystów: Dębickiego, Pankiewicza oraz Tichego. Są to, mimo kapitalności swej, najmniej względnie głośni i najmniej reklamowani z malarzy naszych, a dzięki wyjątkowym właściwościom, jak gdyby stworzeni właśnie na idealnych kierowników młodzieży artystycznej. O Pankiewiczu wie się nieco więcej w Warszawie, skutkiem tego najmniej snadź potrzebne mu wszel-

*) Tę potrzebę, tę konieczność wielkiej kulturalności kierowników podkreślilibyśmy zresztą dwa razy przy wymienionem w statucie na pierwszem miejscu zadaniu „kształcenia artystów,“ fatalną bowiem jest rzeczą, gdy młódź artystyczna opuszcza szkołę z dużym nieraz talentem, z wyrobionem okiem i ręką, ale z zupełnem, przy tem wszystkiem, pod względem kultury, nieokrzesaniem.

kie rekomendacye. Jakim potężnym, szeroko-kulturalnym i ożywczo, nie na uczniów nawet, lecz na kolegów już, oddziaływającym artystą jest Stanisław Dębicki, pisaliśmy już kiedyś okolicznościowo w Chimerze (tom I, str. 179 — 180). Tichego — dla znawców prawdziwych oraz artystów — winny były wylegitymować aż nadto: wystawiane w T. Z. S. P. i u Krywulta rysunki węglowe, oraz udział w wystawie „Sztuki stosowanej;“ o jego zaś wpływach na młodych, wyrabiających się artystów Kraków mógłby wiele powiedzieć. Ponieważ nadto szkoła warszawska nie myśli podobno zamykać się w „olejnictwie,“ lecz pragnie uwzględnić szeroko sztuki graficzne i sztukę stosowaną, — nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż trzej wymienieni malarze, w tych nowych u nas dziedzinach, do najlepszych należą znawców i praktyków. Dębicki, Pankiewicz i Tichy — oto winno być jądro przyszłej gromadki artystycznych kierowników szkoły. Uzupełnić grono mogą wspaniale Pieńkowski, Ruszczyć i Ślewiński, zaszczytnie — Chełmoński i Malczewski, — ale tamci trzej pierwsi są nieodzowni, i komitet nie powinien się cofnąć przed zdwojonemi, gwoli pozyskaniu ich, wysiłkami.

W dziale rzeźby, trudniej kogoś z całem przekonaniem zalecać. W każdym razie, zdaje nam się, iż mowa być może, tylko o Glicensztajnie, Rygierze lub Szymanowskim.

Wadliwością statutu szkoły jest brak, chociażby między „nieobowiązkowemi“ przedmiotami teoretycznemi, kursu historyi sztuki. Krzepki, jędrny jej wykład mógłby wpłynąć pożądanie na duchową stronę przyszłych artystów i zapobiedz wielu *rapin*'owskim konceptom i nonsensom, wygłaszanym z całą pewnością siebie przed największemi arcydziełami. Tylko któżby ją wykładał? Bo tu ani dyletantyzm malarski czy dziennikarski, ani sucha fachowość uniwersytecka, na nic przydać się nie mogą.

Pp. autorów, zarzucających nam listownie, że pomijamy ich książki w sprawozdaniach *Chimery*, prosimy o zwrócenie się z pretensyą do własnych nakładców, którzy nam egzemplarzy recenzyjnych nie przysłali, z obawy snadź przed okrzyczanemi „egzekucyami“ w pismie naszem. Wogóle, zresztą, pp. nakładcy warszawscy uważają rozsyłanie nowych wydawnictw redakcyom i sprawozdawcom — tylko jako środek korzystnej dla „interesu“ wydawniczego reklamy. „Jeżeli książka i tak idzie, po co tracić na krytyków egzemplarze“ — oto autentyczne jednego z wydawców wyrażenie. Że sprawozdania i oceny, takie czy inne, mają znaczenie *także (!) i dla autora*, nikomu z nich na myśl nie przychodzi

widocznie. A warto może byłoby chociaż o tem pamiętać przy dzisiejszym materyalnym helotyzmie autorskim.

Po ukończeniu tomu V-go Chimery zamykamy sprzedaż pierwszego jej rocznika po cenie prenumeracyjnej. Od chwili ukazania się zeszytu niniejszego, cena liczyć się będzie według tomów: po rb. 3 za tom na miejscu i po rb. 3 kop. 50 z presyłką pocztową. Tom I sprzedaje się tylko razem z II, III i IV-ym. Pozostałe cztery tomy (II — V) nabywać można pojedyńczo. Poszczególne zeszyty, w miarę zapasu, po cenie oznaczonej na każdym.



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
22, rue Nouveau Monde, Varsovie.
Sommaire du N-ro 16. — Octobre 1902.

TEXTE: J. Zeyer — *le Roi Kophetua;* A. Lange — *Meditations;* C. Norwid — *le Mystère du lord Singelworth;* G. d'Annunzio — *Le poème paradisiaque;* R. W. Emerson — *le Poète;* M. C. Bielecki — *la Piscine;* M. Komornicka — *Mai;* E. Leszczyński — *Le feu du sacrifice;* A. Łada — *le Reveil;* B. Ostrowska — *l'Incarnation;* L. Rygier — *Nocturne;* K. Robakowski — *Siegfried;* S. Wyrzykowski — *les Roses mystiques;* J. Zeyer — *la Maison „à l'étoile submergée";* J. Lemański — *Colloquium (fable ironique).* — Revue du mois: *Glosses, les Romans, les Voyages, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: E. Burne-Jones — *le Roi Kophetua et la jeune mendiante.* Reproduction en héliogravure (R. Paulussen).

DESSINS DANS LE TEXTE: de — E. Burne-Jones, St. Turbia-Krzysztalowicz, J. Mehoffer, E. Okuń, M. Wawrzeniecki, Fr. Wojtala.

COUVERTURE — de J. Mehoffer.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE I LITERATURZE

Warszawa — Nowy-Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.
REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.

PRZEDPŁATA za r. 1902 przyjmuje się **na wydanie zwykłe:** tylko

	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
półroczna (od lipca do stycznia)	**5** rb. —	**6** rb. **50** k. —	**20** fr. **15** mar. **18** kor.
lub kwartalna	**3** rb. —	**3** rb. **50** k. —	**11** fr. **8** mar. **10** kor.;

na **wydanie wytworne,** tylko półroczna: w Warszawie **15** rb., z przesyłką pocztową **17** rb. **50** kop., za granicą **50** fr., **40** mar., **45** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2 kop. 50.

ROCZNIK PIERWSZY CHIMERY zawiera:

W DZIALE POEZYI: UTWORY ORYGINALNE — St. Barącza, St. Brzozowskiego *(wybór)*, Campanelli, J. Jedlicza, Jana Kasprowicza *(Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Judasz)*, M. Komornickiej, J. Krobickiego, J. Lemańskiego *(Sonety i Bajki)*. B. Lesmiana, E. Leszczyńskiego, K. Lubeckiego. M. Markowskiej, T. Micińskiego, Wł. Nawrockiego, Cypryana Norwida *(List do Walentego Pomiana Z.)*, H. Ochenkowskiego, Br. Ostrowskiej, Wł. Perzyńskiego, J. Ruffera, Juliusza Słowackiego *(Niewydane waryanty do Króla Ducha)*, L. Staffa, W. Sterlinga, M. Wikszemskiego, K. Wroczyńskiego, St. Wyrzykowskiego, K. Zawistowskiej, H. Zbierzchowskiego, M. Zbrowskiego — oraz *PRZEKŁADY:* ze starych ballad ludowych skandynawskich, angielskich i szkockich (tłóm. E. Porębowicz), z T. de Banville'a - *(wybór*, tłóm. Miriam), z Campoamora *(Licencyat Torralba*, tłóm. A. Lange), z Coleridge'a *(Pieśń o starym żeglarzu*, tłóm. J. Kasprowicz), z A. Giraud'a *(Rondele fantastyczne*, tłóm. Miriam), z J. Keats'a *(Hyperion*, tłóm. J. Kasprowicz), z J. Rodenbacha (*wybór*, tłóm. El-ka), z J. Zeyera *(Na Synai*, tłóm. Miriam);

W DZIALE DRAMATU: C. Norwida—*Wanda*; hr. de Villiers de l'Isle Adam'a—*Axel*; Chr. D. Grabbego—*Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie*; A. Gide'a—*Filoktet*;

W DZIALE PROZY EPICKIEJ: UTWORY ORYGINALNE—W. Berenta (*Próchno*), Z. Bytkowskiego, Z. Dębickiego, M. Komornickiej, T. Micińskiego, C. Norwida (*Ad leones*), St. Przybyszewskiego (*Fragmenty z „Synów ziemi"*), W. Reymonta *(Komurasaki)*, St. Wyrzykowskiego, M. Zawiejskiej; oraz *PRZEKŁADY:*—z Andersena, J. Eekhouda (*Chwała Lutterathu)*, Wł. Garszyna (*Attalea Princeps)*, A. Gide'a *(Prometeusz źle spętany)*, J. Schlafa *(Pieśń)*, M. Schwoba *(Krucyata dziecięca)*, W. Stefanyka;

W DZIALE PROZY MYŚLOWEJ — rozprawy i studya: O. Brzeziny (*Tajemnicze w sztuce)*, A. Bocklina *(Wyznania)*, Fr. Nietzschego (*Dusza dostojna* i *Fragmenty z Zaratustry)*, Z. Przesmyckiego *(Los geniuszów, Walka ze sztuką, Drzeworyt japoński, J. A. Rimbaud)*; wreszcie stała *KRONIKA MIESIĘCZNA*, omawiająca objawy w literaturze, sztukach plastycznych, teatrze i muzyce;

W DZIALE SZTUKI PLASTYCZNEJ:
PLANSZE OSOBNE — Aubrey Beardsley *(Tannhäuser wracający na Venusberg)*, Fr. Bilek *(głowa Zeyera)*, A. Dürer (*dwa rysunki z „Apokalipsy")*, A. Gierymski *(Plac Maksymiliana w Monachium)*, Kuniyoshi *(Gra o stawkę)*, G. Moreau *(Chimera)*, F. Rops (*Wielka lira)*, J. Stanisławski (litogr. kolorowe — *Kościół św. Marka, Villa d'Este, Topole)*, Utamaro *(Kobieta z lusterkiem)*, St. Wyspiański *(Apollo)*;

RYSUNKI OKŁADKOWE — St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, E. Okunia (dwa), M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego; oraz

OZDOBY I RYSUNKI W TEKŚCIE — J. Auchentallera, St. Dębickiego, A. Donnay'a. Hiroshige'a, Hokusai'a, G. Klimta, G. Khnopffa, Korina, St. Krzyształowicza, Kuniyoshi'ego, J. Mehoffera A. Mosera, T. Noskowskiego, E. Okunia, J. Pieńkowskiego, F. Ropsa, Shiokoku, Fr. Siedleckiego J. Stanisławskiego, Utamaro, F. Vallotona, M. Wawrzenieckiego, M. Wisznickiego, Yosai'a.

Tomy poprzednie miesięcznika (I do V) nabywać można po rb. **3,** z przesyłką pocztową po rb. **3** kop. **50;**

tom I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym;

zeszyty pojedyńcze — tylko 4/5, 6, 7/8, 9, 10/11/12, 13, 14 i 15 — po cenie oznaczonej na każdym.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie